

WŁADYSŁAW UMIŃSKI

POD POLSKĄ FLAGĄ

SAMOCHEDEM NAOKOŁO ŚWIATA
PRZEZ SKAUTA JERZEGO JELIŃSKIEGO

Z oryginału przepisał i opracował: Mariusz Kwestorowski *kwestek@wp.pl*

Więcej informacji o wydaniu, Umińskim i podróży Jelińskiego na stronie:

www.jelinski.rox.pl

DO CZYTELNIKA!

Nie jestem turystą ani globetrotterem, którego ambicja polega na tym, żeby postawić stopę na wszystkich lądach świata. Moim zadaniem było prowadzić jak najskuteczniejszą propagandę na rzecz naszej Ojczyzny, przedstawiając ją korzystnie w oczach cudzoziemców.

Niestety bowiem istnieją narody, które o Polsce tak mało jeszcze wiedzą, że jest ona dla nich *terra incognita*.

Opasając flagą polską kulę ziemską zetknąłem się nie tylko z cudzoziemcami, lecz także z rodakami, rozrzuconymi po świecie jak gwiazdy na niebie. Gdzie ich nie spotykałem! Zarówno w Afryce, jak na środku oceanu, w miastach, jak na pustyni.

Niosłem im słowo o Ojczyźnie, którego słuchali chciwie. Nie jest to zatem dzieło fantazji, lecz najrealniejsza rzeczywistość.

Przede wszystkim dziękuję W.P. Władysławowi Umińskiemu za podjęcie trudu zgrupowania moich wrażeń i przygód z podróży samochodem naokoło świata i utrwalenia ich piórem w niniejszej książce, oraz za odtworzenie ze ścisłą prawdą moich wspomnień, które przed Nim z całą szczerością roztaczałem w długie zimowe wieczory, wspólnie spędzone na przyjacielskiej pogawędce.

Nie mogąc wymienić w szczupłych ramach niniejszej książki wszystkich ludzi prywatnych i organizacji, od których doznałem tylu dowodów życzliwości, składam najserdeczniejsze podziękowania: Władzom Naczelnym Rzeczypospolitej Polskiej, naszym placówkom konsularnym za granicą i przedstawicielom prasy, Polonii Amerykańskiej oraz jej organizacjom sokolskim, Naczelniectwu Harcerstwa Polskiego i skautom całego świata.

Niechże ta książka będzie odpowiedzią na liczne pytania i listy, które otrzymuję od życzliwych mi ludzi i zanieś skautom całego świata pozdrowienie braterskie:

„CZUWAJ”

Warszawa, w marcu 1929 r.

ROZDZIAŁ I.

W KTÓRYM ZAZNAJAMIAMY SIĘ Z BOHATERAMI PODRÓŻY.

Ostatniego dnia października 1928 roku znalazłem się na ulicach Warszawy, odbywając zwykłą poranną przechadzkę.

Zauważyłem wielkie tłumy publiczności zgromadzające się w Alei Jerozolimskiej¹ i mimo woli byłem świadkiem uroczystego wjazdu Jerzego Jelińskiego, wracającego do Warszawy z rozgłośniej podróży naokoło świata samochodem.

U samej rogatki ujrzałem szpaler z podoficerów szkoły tanków z komendantem na czele i z kierowców samochodowych. Niebawem ukazał się długi sznur samochodów.

„Niech żyje Jeliński!” – wołano z zapałem.

Przystanąłem. Na czele imponującego korowodu jechała maszyna Automobilkлубu Polskiego, za nią okazały buick Jelińskiego. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że samochód powraca z dalekiej i uciążliwej drogi. Wśród najrozmaitszych skrzyń, w których mieściły się pamiątki i zdobycze z długiej wędrówki, siedział u koła sterowego młody, sympatyczny chłopiec, widocznie mocno przejęty i wzruszony dowodami uznania, jakie się nań sypały ze strony tłumów. Kłaniał się na lewo i prawo, z rumieńcem na opalonych policzkach. Tak, to był jego triumf! Dokonał czynu, jakiego nie zanotowały jeszcze kroniki polskiego sportu automobilowego; co więcej, dokonał go sam jeden, pozostawiony swym własnym siłom i środkom, gdyż losy oddzieliły go od towarzyszy, z którymi pierwotnie wyruszył w drogę. Miał więc z czego być dumnym.

Korowód licznych samochodów zatrzymał się przed redakcją „Przeglądu Sportowego”², którego redaktor powitał Jelińskiego wielkim bukietem kwiatów w ręku, z napisem: „Chlubie Sportu Polskiego. Zwycięzcy wszystkich dróg świata”.

Tłumy rozentuzjasmowanych zwolenników sportu odprowadzały samochód Jelińskiego aż do lokalu Automobilkлубu Polskiego³. Wielki plac napełnił się szczelnie. Marynarze, dawniejsi koledzy Jelińskiego, siłą musieli sobie torować drogę do lokalu, chcąc powitać podróżnika. Operatorzy filmowi i fotografowie, naciskani zewsząd, z najwyższą trudnością dokonywali swoich zdjęć.

¹ Obecna nazwa warszawskiej arterii – Aleje Jerozolimskie – została oficjalnie wprowadzona w 1916 roku, jednak przez starszych mieszkańców stolicy poprzednia nazwa (Aleja Jerozolimska) była używana jeszcze długo potem.

² Redakcja „Przeglądu Sportowego” znajdowała się w kamienicy przy ul. Jasnej 30.

³ Siedziba Automobilkлубu Polskiego w latach 1918-1929 mieściła się przy ul. Ossolińskich 6.

Jakiś optymista mógłby pomyśleć, że Polska liczy tak wielkie zastępy sportowców. Ale w rzeczywistości ludzi tych sprowadziła tutaj ciekawość. Od chwili wyjazdu wyprawy, cała prasa, nie tylko polska, ale i zagraniczna, mocno się nią interesowała. Wszędzie umieszczano sceny z podróży, choć, prawdę mówiąc, wątpiono na ogół, czy polscy skauci zdołają doprowadzić do końca swą imprezę. Toteż Warszawa była mile zdziwiona na wieść, że pan Jeliński wraca, że dokonał tego, co sobie zamierzył.

Stąd ten entuzjazm, gdyż tłumowi zawsze i wszędzie imponuje energia i zuchwalstwo dokonanych czynów.

Z wielkim trudem dostałem się aż do samochodu, udekorowanego licznymi emblematami klubów automobilowych całego świata. Były tam odznaki nie tylko wszystkich prawie klubów europejskich, ale także marokańskich, amerykańskich, ba – nawet japońskich – które mianowały Jelińskiego swoim honorowym członkiem.

Z tyłu powiewała dumnie flaga polska. Pomiedzy tymi emblematami brakowała jednak odznaki Automobilklubu Polskiego. Lecz ta rzucająca się w oczy luka wnet zostaje zapełniona. Jeliński, odprowadzony przez starszyznę harcerstwa polskiego, udaje się do lokalu klubu, gdzie nań oczekuje zarząd, a także przedstawiciele firm, sympatyzujących z podróżnikiem. Obsypują go cennymi podarkami. Na uczcie zjawia się tak długo oczekiwany emblemat klubowy. Ceremonię tę zebrany tłum przyjmuje okrzykami zadowolenia. Słowem: pan Jeliński święci wielki triumf, otrzymuje nagrodę dobrze zasłużoną.

Jego ładne auto, eskortowane przez liczne wozy, zatrzymuje się przy ulicy Mazowieckiej, przed znaną firmą samochodową, która urządza na swej wystawie interesujący pokaz. Publiczność może tutaj oglądać nie tylko sam wóz, który odbył wielką podróż, ale także liczne pamiątki i trofea druha Jelińskiego. Na szczycie widnieje w polskim i angielskim języku napis: „Ekspedycja Skauta Polskiego, Jerzego Jelińskiego, naokoło świata”.

Pewnego dnia, idąc Mazowiecką, zauważyłem na szybie wystawowej napis: „Zbiory z podróży Skauta-automobilisty Polskiego, Jelińskiego, i jego samochód”. Trzeba to obejrzeć, rzekłem do siebie, wchodząc.

Przez dłuższą chwilę szukałem oczyma, w tłumie napełniającym sklep, pana Jelińskiego. Stał otoczony przez kilkunastu przedstawicieli prasy i poważnych firm samochodowych oraz osób prywatnych, i znajdował się widocznie w wielkim kłopotcie, jak odpowiadać na grad stawianych mu pytań.

– Jakich przygód doznał pan w Indiach? – pyta jakiś student, widocznie amator egzotycznych polowań w dżungli.

– Ile kilometrów ogółem zrobił pan na tym samochodzie? – pyta znów młody sportowiec.

Druh Jeliński rzuca z uśmiechem pogodnym krótkie odpowiedzi. Trzyma w ręku książkę, oprawną w czarną skórę, ze srebrną lilią burbońską na okładce, godłem związku harcerstwa polskiego.

Księga stanowi dlań widocznie najdroższą pamiątkę z odbytej podróży, piastuje ją bowiem z wielkim namaszczeniem i co chwila pokazuje obecnym jakąś jej kartkę. Jest to zbiór autografów najwybitniejszych osobistości świata, z którymi stykał się podczas swego rajdu. Kogóż tu nie ma? Poczynając od Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej prof. Mościckiego, Marszałka Piłsudskiego, Kardynała Kakowskiego, Kardynała Hlonda, który wyprawił podróżników w drogę pięknym błogosławieństwem, cały szereg świetnych nazwisk zdobi kartki tego zbioru: prezydent Masaryk, prezydent Hainisch, kanclerz austriacki Seipel, admirał Horthy, Benito Mussolini, własnoręczne błogosławieństwo Ojca Świętego, prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej Doumergue, król belgijski Albert, gubernator Afryki Północnej, Coolidge – prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, były prezes ministrów japońskich, baron książę Szimpej Goto, burmistrz największych miast świata, generałowie, uczeni, rektorzy uniwersytetów.

Nie są to bynajmniej gołe, nic nie mówiące podpisy, lecz gorące słowa uznania, pochwały i życzenia dla naszych podróżników. Uderza zwłaszcza, że Jeliński odwiedził po drodze wszystkie niemal placówki dyplomatyczne i konsularne polskie. Do zbioru autografów, który jako wielka osobliwość stanie się własnością ogółu polskiego, pan Jeliński, jak się zdaje, przywiązuje największą wartość.

Uzupełnieniem niejako tego zbioru jest cały szereg fotografii naszego podróżnika, stojącego przy fladze narodowej i dygnitarzy, którzy zainteresowali się jego przedsięwzięciem i zaszczylicili go swymi podpisami. W tym oświetleniu podróż druha Jelińskiego przedstawia się jako wielka światowa propaganda na rzecz naszej Ojczyzny. Czyn ten podyktował mu szczerzy patriotyzm, którego dowody składał i przy innych okazjach.

„Opasałem flagą polską kulę ziemską”, powtarza druh Jeliński z dumą. Jest to jego ulubione wyrażenie. Kładzie on nacisk, ażeby w opisie jego podróży było to silnie podkreślone.

W wielkim magazynie, obok samochodu noszącego świeże ślady podróży, stoi cały szereg szafek i gablotek, mieszczących pamiątki i dary zebrane na całej kuli ziemskiej, a więc kostiumy arabów marokańskich, broń wschodnia, ciekawe okazy zoologiczne i mineralogiczne, różne wyroby ręczne tkane i skórzane, mnóstwa odznak otrzymanych od

Polonii amerykańskiej, kostiumy wodzów czerwonoskórych, z którymi pan Jeliński zawarł akt przyjaźni, olstry⁴ i pasy cowbojów z Arizony, ciekawe obrazy stenograficzne z Wysp Hawajskich, owoce egzotyczne, wyroby z drzewa, jedwabie japońskie, lalki, figurki, kostiumy narodowe z Krainy Wschodzącego Słońca, chińskie rzeźby, wyobrażające różnych bożków, żółw olbrzymi z Indii, rogi bawole i inne trofea myśliwskie, wyroby z szyldkretu⁵ i kości słoniowej, pochodzące z wyspy Cejlon, modele łódek malajskich... Nic więc dziwnego, że samochód druha Jelińskiego był tak wyładowany, Przyglądałem się tym zbiorom ze szczerym zainteresowaniem. W końcu, korzystając z krótkiej chwili, kiedy pan Jeliński wy dostał się z koła oblegających go przedstawicieli prasy, zbliżyłem się doń.

– Odbył pan ładną podróż, rzekłem.

Uklonił się ze skromnym uśmiechem,

– Nie jestem bynajmniej podróżnikiem, nie przedsięwziąłem nic takiego, co by mogło stanąć w jednym rządzie z czynami Stanley'a⁶ lub Livingstone'a⁷. Jestem przede wszystkim Polakiem. Jedynym moim pragnieniem było prowadzić, w miarę środków, propagandę na rzecz mojej ojczyzny w szerokim świecie. Dlatego też postanowiłem sobie, bez względu na trudności i przeszkody, nie tylko rozpocząć, ale i dokończyć mojej podróży, ażeby nie powiedziano, że Polacy nie posiadają dość wytrwałości. Niech mi pan wierzy, że dużo mnie to kosztowało, ażeby zadośćuczynić powyższemu warunkowi. Opuszczaliśmy kraj z niezmiernie małymi zasobami materialnymi, musieliśmy początkowo zdobywać sobie środki pracą dla naszego utrzymania. Nieraz wprost staliśmy wobec widma głodu, liczyliśmy z troską grosze w kalecie⁸ i racje wyczerpującego się chleba.

Otoczeni pozornym blichtrzem przez entuzjastów, słuchając opery w wielkiej stolicy, marzyliśmy o zjedzeniu gorącej stawy, której od szeregu dni nie mieliśmy w ustach, Ale te wszystkie przejścia, nieraz bardzo przykre i bolesnej, osładzała nam myśl, że ponosimy je dla naszej ojczyzny, która niestety, dla wielu, wielu mieszkańców kuli ziemskiej jest dotąd *terra incognita*.

⁴ Olstro lub olstra (od niem. holster) – skórzany futerał na pistolet kawalerzysty przytroczony do przedniej części siodła.

⁵ Szyldkret – masa rogowa, którą otrzymuje się z pancerzy żółwi.

⁶ Sir Henry Morton Stanley (1841-1904) – walijski dziennikarz i korespondent, pisarz, badacz Afryki i poszukiwacz przygód.

⁷ David Livingstone (1813-1873) – szkocki misjonarz protestancki, badacz Afryki. Ok. roku 1870 roku został uznany za zaginionego – w wiosce w pobliżu jeziora Tanganika odnalazł go Henry Stanley, kierujący ekspedycją poszukiwawczą (w momencie odnalezienia Livingstone'a, Stanley zwrócił się do niego słynnymi słowami: *Dr Livingstone, jak sądzę?* – ang. *Dr Livingstone, I presume?*)

⁸ Kaleta – skórzany woreczek na pieniądze i drobiazgi, noszony przy pasie lub rzadziej na szyi.

– Sadząc z nagromadzonych tutaj zbiorów i pamiątek, pańska podróż zdołałaby zainteresować szerszy ogół, nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Czy pan ma zamiar ogłosić drukiem swoje przygody i spostrzeżenia? – zagadnąłem,

Pan Jeliński uczynił szeroki gest ramionami.

– Nie jestem literatem, lecz człowiekiem czynu. Wprawdzie w dziennikach polskich zagranicznych dawałem ułamki ze swoich wrażeń, ale zdają sobie jasno sprawę, że tu potrzeba by wytrawnego, literackiego pióra, ażeby zobrazować liczne wrażenia i przejścia, jakie się nastęrczały w tym długim rajdzie poprzez różne krainy szerokiego świata. Chętnie służyłbym panu jak najbardziej szczegółowym materiałem, w słowie żywym i w notatkach, jakie porobiłem, gdyby pan zechciał go spożytkować dla napisania obszerniejszej książki o mojej podróży, Zdaję sobie bowiem sprawę z tego, że ogłoszenie jej utrwaliłoby w pamięci ludzkiej tę moją propagandę na rzecz Polski w najdalszych zakątkach świata. Czy zgadza się pan podjąć ten trud? Mam zupełne zaufanie, że pan zrobiłby to najlepiej, znacznie lepiej, aniżeli ja sam przy najlepszych nawet chęciach.

Chętnie zgodziłem na tą propozycje pana Jelińskiego.

W parę dni po tym spotkaliśmy się w ustronnym jego mieszkaniu. Chciał pokazać mi swój bogaty zbiór przezroczy, sporządzonych z własnoręcznie porobionych w drodze fotografii.

– Zilustruję panu najprzód moją podróż, będzie pan widział na ekranie wszystko to niemal, co jest godnego uwagi, co ja sam miałem przed oczyma. To panu ułatwi zadanie.

Istotnie, przesunął się przede mną na Ekranie cały egzotyczny świat, przemierzony przez samochód Jelińskiego.

Skończywszy ten zajmujący przegląd, gawędziliśmy długo. Szło mi o to, żeby poznać dokładniej tego chłopca, który pomimo młodego wieku dokonał takiego czynu. Mówił mi o sobie ciekawe rzeczy. Ukazał mi się charakter stanowczy, postać sympatycznego młodzieńca, ożywionego gorącym patriotyzmem, który był złotą nicią wiążącą w jeden sznur pereł jego bezinteresowne czyny.

– Od czasu, kiedy przestałem być dzieckiem, mówił pan Jasiński, w pamięci mojej zapisał się ciemnymi zgłoskami pewien fakt, jaki się zdarzył podczas wielkiej wojny. Moja matka pa śmierci ojca zamieszkiwała w niewielkiej posiadłości w Miłosnie. Prócz mnie było jeszcze kilkoro dorosłego rodzeństwa; ja jak zwykle najmłodszy, odgrywałem w rodzinie rolę Beniaminka. Matka kochała mnie niezmiernie. Kiedy Niemcy zajęli w 1915 roku Warszawę, od której rok temu byli krwawo odparci, znajdowałem się na wsi, matka moja zaś w mieście sama. Rosjanie, cofając się, palili i pustoszyli kraj, chcąc poza sobą zostawić pustynię. Nagle

w stronie Miłosny ukazała się wielka łuna pożarów. Biedna moja matka wyobrażała sobie, że to nasz majątek się pali, i że ja znajduję się w wielkim niebezpieczeństwie. Ten niepokój tak silnie wstrząsnął jej nerwami, że dostała ataku sercowego i zmuszona była położyć się do łóżka.

Tknięty złym przeczuciem postanowiłem natychmiast udać się do Warszawy pieszo, bo żadnej komunikacji wówczas nie było. Szedłem, spotykając walących potężnymi zastępami Niemców,

Na Wiśle zastałem mosty wysadzone w powietrze; przepравиłem się więc łódką, i kiedy nareszcie, pokonawszy wielkie trudności, znalazłem się w domu, zastałem matkę bliską śmierci. Umarła w parę dni później, mając tę ulgę, że znajdowałem się przy niej, nikt bowiem spośród mojego rodzeństwa nie mógł zjawić się w porę.

Matka, ziebnącymi już w agonii rękoma, dała mi mały krzyżyk z relikwiami, otrzymany kiedyś od ludzi, którym wyświadczyła pewne dobrodziejstwo; według jej mniemania przynosił on posiadaczowi szczęście. Krzyżyk ten później zabrałem jako talizman ze sobą w podróż i kto wie, może dzięki temu zdołałem zdrów i cały powrócić do Ojczyzny.

Po śmierci matki uczęszczałem do gimnazjum w Warszawie, i jako uczeń 6 klasy wraz z kilku kolegami wstąpiłem, przed wyjściem Niemców z Warszawy, jako ochotnik do milicji miejskiej, która miała za zadanie utrzymywać w Warszawie porządek.

Była to historyczna chwila w życiu naszego narodu, który party żywiołowym instynktem państwowo twórczym brał się gorączkowo do organizacji sił zbrojnych. Wszystko co tylko czuło i myślało patriotycznie wstępowało do szeregów. Miałem wówczas lat szesnaście. Od dawna pod wpływem naszej bogatej literatury dla młodzieży marzyłem, żeby zostać marynarzem. Zaciągnąłem się więc do marynarki, jako jeden z pierwszych ochotników. Wprawdzie nadzieja pływania po dalekich oceanach ziściła się tylko w małym stopniu, nie żałowałem jednak mojego kroku, gdyż i tam znalazłem sposobność przysłużenia się Ojczyźnie.

Będąc już matem, czyli podoficerem marynarki, zawiadywałem odcinkiem granicznym na Pomorzu. Na tej placówce zastała mnie wielka tragedia dziejowa, jaką musiała przeżyć nasza Ojczyzna w 1920 roku.

Nagle gruchnęła aż w tym zakątku żałobna wieść, że barbarzyńskie hordy bolszewickie, przełamawszy rozpaczliwy opór naszych szczupłych zastępów, ciągną na Warszawę, niosąc czerwoną chorągiew rewolucji społecznej i znacząc swoją drogę rabunkiem i pożogą. To podziało na marynarzy jak ostroga na rasowego konia.

Nasza bezczynność przymusowa w zapadłym kącie wydawać się nam począła zbrodnią przeciwko Ojczyźnie. Wszystko, co gorętsze, rwało się do czynu. W pierwszym rządzie inteligentna młodzież. Pobiegły do głównej komendy marynarki w Pucku podania o przeniesienie na front bojowy.

Byłem jednym z pierwszych. Ku wielkiej mojej radości podaniu memu uczyniono zadość. Z paru set ochotników batalionu morskiego uformowano kompanię „Mścicieli” i połączywszy z ochotnikami zwerbowanymi do kadry modlińskiej wysłano na front pod dowództwem kapitana Jacynicza.

Nie długo nasza kompania czekała na chrzest ogniowy. W kilka dni po sformowaniu oddziału wsadzono nas do wagonów, dano w pośpiechu karabiny maszynowe i wysłano na front bolszewicki. Wojska czerwone forsowały właśnie linię Narwi, od której cofały się pobite przez przewalające się nasze pułki piechoty. Za Ostrołęką w biegu wyskakiwaliśmy z wagonów, zajmując miejsca w tyralierce, osłaniającej stację kolejową i miasto przed naporem nieprzyjaciela.

Batalion nasz od razu znalazł się rżęsim ogniu artylerii polowej i karabinów maszynowych bolszewickich. Okopawszy się przez parę dni stawialiśmy skuteczną zaporę nacierającym bolszewikom, robiąc częste wypadki nocne.

Pewnego poranku otrzymaliśmy rozkaz zajęcia pobliskiej wioski, obsadzonej przez nieprzyjaciela. Nasza kompanie zerwała się pierwsza z szanicyków prowizorycznych i z bagnetem ruszyła na odległe o parę set za ledwie kroków pozycje bolszewickie.

W wigilię tego ataku, będąc na stacji, dowiedziałem się ze wzruszeniem, że mój brat starszy, który służył jako ochotnik w 201 pułku piechoty nazwanym „Dzieci Warszawy”, poległ śmiercią walecznych w bitwie wczoraj rozegranej, o dwa kilometry za ledwie od Ostrołęki. W chwili ataku znajdowałem się więc w niezmiernie przygnębnym tą bolesną stratą nastroju.

– Boże! – mówiłem do siebie – nie pozwól mi tutaj zginąć, niech otrzymam choćby ciężką ranę, ale niech mi będzie dane zawiadomić rodzeństwo, gdzie i jak zginął nasz biedny Czesław.

Dyszałem żądzą pomszczenia mego brata. Jeżeli już miałem paść, to przynajmniej niech drogo sprzedam swoje życie i położę choć kilku nieprzyjaciół.

I tego mego westchnienia Bóg raczył wysłuchać.

Posyłaliśmy salwą za salwą w szeregi nieprzyjaciela. Wierzyłem, że moje kule z tak bliskiego dystansu muszą spełniać swoje zadanie. Pomściłem brata.

Nagle rozległ się rozkaz: „Na bagnety! Biegiem marsz!”.

Podniosłem się spoza zasłony i wraz z całą kompanią ruszyłem na wroga. Bolszewicy dopuścili nas na kilkadziesiąt kroków do siebie i zaczęli siec niemiłosiernie krzyżowym ogniem.

Uczułem jakby uderzenie iskry elektrycznej. Karabin wypadł mi z dłoni, nachylałem się, lecz ręka moja prawa nie jest zdolna podnieść broni. Widzę z przerażeniem, że dolna część jej zwiesza się w rękawie.

Dają mi tampon z waty, w którym wsiąka obficie płynąca krew, i wsadzają do auta ciężarowego, przepełnionego rannymi. Jedni, ciężko pokaleczeni, leżeli na podłodze. Inni, lżej ranni, stali ściśnięci, jak śledzie w beczce. Co kilkanaście kilometrów szofer zatrzymywał maszyny, wyciągał tych co zmarli w drodze i kładł ich przy rowie, ażeby pozostałym dać więcej swobodnego miejsca.

Była to zaiste piekielna droga.

Choć od tej chwili minęło lat kilka, to jednak owe straszne przejścia stoją dotąd z okrutną wyrazistością przed moimi oczyma. Moja ręka była w Pułtusku źle zestawiona, długotrwały brak opatrunku groził, jak to się często na wojnie zdarza, gangreną. Lekarze chcieli już dla ocalenia mi życia odjąć prawe ramię.

Wyznaję, że kiedy znalazłem się na stole operacyjnym, przerażenie mnie ogarnęło. Zostać kaleką na całe życie! To okropna perspektywa! Na szczęście moja siostra odszukała mnie w szpitalu i zaczęła błagać lekarzy, żeby mnie nie pozbawiano ręki. Wstawiennictwo jej odniosło skutek. Pozwolono mnie zabrać do Warszawy.

Leżąc długimi dniami na łożu boleści w szpitalu, dyszałem żądzą zemsty na bolszewikach, sprawcach nie tylko moich cierpieć, ale zabójców tylu młodych kolegów. Obmyślałem różne sposoby zniszczenia armii barbarzyńców, którzy najechali Ojczyznę. W końcu jednak porzuciłem zamiary krwiożercze, gdyż doszedłem do przekonania, że mogę Polsce w inny sposób przynieść korzyść. Postanowiłem służyć jej propagandą na terenie Międzynarodowym. To był najistotniejszy sens podróży, której projekt zaczął wówczas kiełkować w mojej głowie.

Skończyłem swój wywiad z panem Jelińskim. Wyznam, że jego proste opowiadanie i przenikający je duch patriotyczny mile pociągnęły mnie do tego chłopca. Prosiłem go, żeby się niebawem ze mną spotkał i opowiedział mi o narodzinach projektu swej interesującej podróży.

ROZDZIAŁ II.

JAK POWSTAŁ PROJEKT PODROŻY SAMOCHODEM NAOKOŁO ŚWIATA.

Nareszcie odzyskałem zdrowie, opowiadał za następnym naszym widzeniem się druh Jeliński, gdyż wyjęto mi po dziewięciu miesiącach drugą kulę z łokcia. Tymczasem jednak Polska własnymi siłami, po krwawych zmaganiach się z dzikimi hordami bolszewickimi, odniosła, wbrew przypuszczeniom niektórych mocarstw europejskich, świetne zwycięstwo, osłoniła, po raz nie wiem który, zachód od zalewu wschodniego barbarzyństwa.

Byłem dumny, że i moja kropla krwi wyciekła w obronie Ojczyzny. Opuściłem służbę wojskową. Po skończeniu szkoły morskiej na wydziale radiotelegraficznym, znajdowałem się czas jakiś na przeszkoleniu w Toruniu. Otrzymałem stopień bosmana, jako nagrodą za swój udział w kampanii. Ostatecznie przeniesiono mnie do kierownictwa marynarki wojennej w Warszawie. Tutaj w swojej kampanii poznałem marynarza nazwiskiem Ł., który jak ja marzył o odbyciu jakiejś wielkiej podróży. W tym samym czasie wyczytałem w „Kurierze Warszawskim” pewne ogłoszenie, które zwróciło moja uwagę. Brzmiało ono jak następuje:

Wybieram się w podróż naokoło świata na rowerze. Poszukuję jako towarzyszy dzielnych sportowców. Zgłaszać się na ul. X pod nr X.

Pod tym ogłoszeniem znalazłem podpis – Eugeniusz Smolarski. Zgłosiłem się niezwłocznie pod wskazany adres. Ujrzałem u Smosarskiego rower, specjalnie przystosowany do dalekich podróży, co mnie bardzo zainteresowało, gdyż sam używałem tego rodzaju sportu.

Przychodziliśmy do niego razem z Ł. i gwarzyliśmy o naszym wspólnym projekcie, który niebawem stał się głośnym. Pewnego dnia zjawił się u Smosarskiego pan Bruno Brettschneider, operator filmowy i zaproponował nam swój udział w podróży, jako posiadacz aparatu kinowego. Był to człowiek bardzo miły w towarzystwie, ładnie grał na fortepianie, miał zawsze różowy humor, toteż bez wahania przyjęliśmy jego propozycję.

Zaczęliśmy długimi wieczorami szczegółowo rozważać nasze projekty. Smosarski był ciągle za rowerem, jako środkiem komunikacji. Ł. przedkładał motocykle. Co do mnie jednak i Brettschneidera, który miał do dźwigania duży bagaż, byliśmy odmiennego zdania. Według mnie jazda rowerami zanadto by nas zmęczyła i trwałaby za długo, a co najważniejsze, nie wszędzie istnieją szosy. Z tych względów obstawałem za samochodem i to tak urządzonym, żeby podróż nim odbywać się mogła możliwie najwygodniej .

Ja jeden spomiędzy naszej czwórki znałem się na konstrukcji i prowadzeniu auta; dzięki tej okoliczności, że mój brat miał przedstawicielstwo motocyklów, znajdowałem nieraz okazję jeżdżenia na tego rodzaju wehikule i osiągnąłem nawet dość znaczną wprawę. Teraz stanęła przed naszymi oczyma najważniejsza kwestia. Skąd wziąć pieniędzy na kupno takiego samochodu, jaki był dla nas potrzebny.

Spomiędzy nas jeden tylko Smosarski rozporządzał pewnymi środkami materialnymi, które jednak nie przekraczały dwóch tysięcy złotych. Ł., jako marynarz, miał najmniej. Brettschneider wnosił jako udział w przedsięwzięciu swój aparat kinematograficzny i filmy. ale na aparacie jechać przecież nie można. Ja także nie byłem żadnym kapitalistą. Posiadałem zaledwie paręset złotych gotówki. Tymczasem samo podwozie fordowskie kosztować miało 3.600 zł, nie mówiąc już o karoserii. Trzeba było za wszelką ceną zgromadzić ten kapitałik.

Postawiłem więc wszystko jedną na kartę. Zacząłem wysprzedawać się hurtem. Poszedł między ludzi mój nowy smoking, palto jesienne i dwa garnitury prawie nowe, pierścionek, zegarek złoty, słowem wszystko, co miało jakąkolwiek bądź wartość, nie wyłączając większej części bielizny. Pozostałem w końcu w tym tylko, co jest najniezbędniejsze dla każdego szanującego się człowieka.

Co do Ł. to rozstał się on z jedynym cennym przedmiotem, jaki posiadał – ze złotym pierścionkiem. Poza tym miał tylko jeden garnitur na sobie.

Dzięki tym dotkliwym ofiarom mogliśmy nareszcie zakupić podwozie i przystąpić do budowy naszego samochodu, według szczegółowo obmyślnego planu. W tym wypadku przyszło nam ze skuteczną pomocą Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego, gdyż poręczyło za nas w fabryce karoserii.

Musieliśmy ponieść jeszcze jedną ofiarę dla osiągnięcia. wymarzonego celu. Smosarski miał dobrą posadę w banku, ja zaś pracowałem w kierownictwie Marynarki Wojennej. Ł. służył w wojsku.

Otóż, choć z niepokojem o przyszłość, zrzekliśmy się tych stanowisk. Ł. dzięki mojemu wstawiennictwu, otrzymał zwolnienie przed terminem z wojska. Zabraliśmy się więc z całą energią do przygotowań. Najprzód podzieliliśmy między sobą funkcje. Ja, skończywszy kursy inżyniera Prylińskiego, wziąłem dział kierownictwa samochodem i gospodarstwo wyprawy. Smosarski sekretariat i kasę, jako były bankowiec. Ł., najwyższy z pomiędzy nas i najokazalej się przedstawiający, objął reprezentację. Brettschneider zaś zgodził się filmować naszą podróż, za co obiecaliśmy mu pewien procent od honorariów za wyprodukowane obrazy, które według naszych nadziei miały nam przynieść pokaźne dochody po powrocie.

Budowę karoserii powierzyliśmy Centralnym Warsztatom Samochodowym. Pilnowałem tych robót z całą sumiennością. Co dzień zaglądałem do fabryki, gdzie mnie wszyscy majstrowie traktowali z wielką życzliwością. Otrzymałem od nich wiele cennych rad i wskazówek, z których naturalnie korzystałem skwapliwie. Niestety, praca ta posuwała się naprzód żółwim krokiem. Dopiero po kilku zaledwie miesiącach ujrzyliśmy na naszym podwoziu upragnioną karoserię.

Przez ten czas Smosarski i Ł. pracowali także energicznie w swoim zakresie. Wyrobienie różnych dokumentów, jak paszporty, wizy itd., wymagało wielkiej zapobiegliwości.

Kiedyśmy się wreszcie znaleźli w posiadaniu samochodu, zabraliśmy się do ekwipunku. Przede wszystkim pomyśleliśmy o jakimś jednostajnym ubraniu dla całej naszej czwórki. Najodpowiedniejszym wydało się nam umundurowanie skautowskie, które jest jednakowe na całym świecie. Krótkie spodenki granatowe, gołe kolana, frencze⁹ instruktorskie, pasy szerokie skórzane, kapelusze z dużymi rondami, koszulki khaki i wzorzyste krawaty łowickie. Na lewym ramieniu frencza po angielsku kazaliśmy wyhaftować żółty napis: „Polish Scouts Round of the World”.

Był to dla nas najlepszy paszport w obce kraje, gdyż już na całym świecie ta instytucja jest znaną i poważaną. Mieliśmy po temu pełne prawo, gdyż każdy z nas jako chłopiec znajdował się w drużynach harcerskich. Dzięki tej właśnie okoliczności otrzymaliśmy poparcie Naczelnictwa Harcerstwa Polskiego, które było dla nas bardzo cenne.

Za obuwie obraliśmy sobie sportowe pantofle z grubej żółtej skóry. Również ważną częścią ekwipunku w podróż naokoło świata było rzecz naturalna uzbrojenie. Dzięki naszym staraniom dostaliśmy z Ministerstwa Spraw Wojskowych¹⁰ dwa karabiny polskiego wyrobu, z częściami zapasowymi i kilkuset ładunkami. Prócz tego każdy z nas posiadał rewolwer nabyty z własnych środków i noże skautowskie. Ponieważ nasz samochód mógł na noc pomieścić tylko dwie osoby, więc dla pozostałych kolegów musieliśmy sprawić duży namiot skautowski, który później był rozbijany w najrozmaitszych stronach świata. Służył on nam jeszcze w Afryce, gdzie go podarowałem skautom francuskim, po wycofaniu się moich towarzyszy.

⁹ Frencz – kurtka wojskowa z czterema dużymi naszytymi kieszeniami. Nazwa pochodzi od nazwiska feldmarszałka brytyjskiego z czasów I wojny światowej, Johna D. Frencha.

¹⁰ Ministerstwo Spraw Wojskowych – naczelny organ administracji państwowej powołany do kierowania i administrowania siłami zbrojnymi II RP w czasie pokoju i przygotowania ich do działań na wypadek wojny. Istniał w latach 1918-1942.

Zabraliśmy ze sobą menażki, w których warzyliśmy strawę; każdy zaś miał przy sobie łyżkę, widelec i nóż. W aucie znajdowało się osiem kieszeni przyszytych do wewnętrznego obicia. Każdy z nas otrzymał do dyspozycji dwie z nich. Z tyłu auta umieściliśmy bagażnik, gdzie przechowywaliśmy zapasową bielizną i rozmaite narzędzie, które mogły się przydać w podróży.

Nie zapomnieliśmy także o parlofonie¹¹, zaopatrzonym w zapas płyt polskich dla propagandy naszej twórczości muzycznej, a nawet zabraliśmy z sobą czterolampowe radio wyrobu polskiego z anteną przenośną. Rozpiąwszy ją, mogliśmy słuchać w podróży różnych stacji, przede wszystkim naszej kochanej Warszawy; w ten sposób mieliśmy ciągły łącznik z Ojczyzną, aż do Afryki. Wówczas bowiem nie istniała jeszcze silna, dająca się słyszeć aż na antypodach stacja katowicka. Było to dla nas wielkim pokrzepieniem duchowym w czasie oddalenia od Ojczyzny.

Co zaś do naszego auta, to zabraliśmy ze sobą na błotnikach dwa zbiorniki benzyny, mogące pomieścić do 60 litrów paliwa. Prócz tego bańkę oliwy dziesięciolitrową. Bak nasz zrobiona dwa razy większy niż normalny fordowski. Z tym zapasem byliśmy w stanie przejechać 500 do 600 kilometrów po złych nawet drogach.

Tak przedstawiało się mniej więcej nasze auto, którego wygląd przypominał nieco tank, czyli czołg. Roztropność nakazywała jednak przed wyruszeniem w podróż wypróbować nasz wehikuł. Doświadczony inżynier, pan Paszewski, rzekł do mnie pewnego razu:

– Nasze drogi polskie są, trzeba to powiedzieć bez ogródek, fatalne. Zróbcie więc przed wyruszeniem w podróż naokoło świata rajd dookoła Polski. Będzie to ostra próba nie tylko waszej wytrzymałości i praktyczności urządzeń, ale i samochodu. Jeżeli on wytrzyma na naszych drogach, to będziecie mogli śmiało jechać nim nawet po Afryce. Co się wam w drodze popsuje, to się da jeszcze tutaj naprawić, a zdobyte doświadczenie przyda wam się za granicą.

Koledzy moi przyjęli skwapliwie ten projekt, bardzo w gruncie rzeczy rozumny. Przemawiała za nim i ta okoliczność, że każdy dobry Polak powinien przede wszystkim poznać swój własny kraj, zanim wyruszy w świat szeroki. A my, niestety, jeszcze go dobrze nie zwiedziliśmy podówczas.

Rajd objął Siedlce, Puszcę Białowieską, Jezioro Augustowskie, Mławę, Bydgoszcz i z powrotem przez Łęczycę do domu.

¹¹ Parlofon – urządzenie do odtwarzania dźwięku z płyt, inaczej: patefon lub gramofon.

ROZDZIAŁ III. JAK SIĘ ROZPOCZEŁA PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA.

Przed wojną, kiedy paszporty zagraniczne w Europie były niezbędne w paru zaledwie krajach, można było podróżować bez wielkich formalności. Ale dziś! Wizy, wizy, wizy! Dość powiedzieć, że wyprawa musiała zdobyć nie mniej ni więcej, jak 28 wiz, dojących jej prawo przejazdu przez tyleż państw całego świata. Nie mówiąc już o bieganinie, kosztowałyby to ładną turnicą, gdyż liczbę 28 należy pomnożyć przez liczbę uczestników. Ale od tego wydatku, któryby przekroczył środki ekspedycji, uwolniła ją uprzejmość naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które, pokładając w wyprawie zaufanie, wyjednało w poselstwach cudzoziemskich wizy bezpłatne. Zawdzięczała to wyprawa poparciu pana ministra Karola Bertonięgo. Jedynym wyjątkiem był tutaj przedstawiciel Austrii.

Jak już nadmieniałem, wyprawa miała na celu propagandą za granicą, dlatego to postanowiono przed wyjazdem uzyskać audiencję u najwybitniejszych osób i wyjednać ich przychylność dla zamierzonego przedsięwzięcia.

Ufundowano zatem książką pamiątkową, w której owe przodujące osobistości kładły swoje podpisy, wypisywały życzenia i błogosławieństwa dla wyprawy. Księga ta w ciągu dwuletniej z górą podróży wypełniła się mnóstwem nazwisk, i będąc nieraz w ręku wysoko postawionych osób, stała się nie tylko miłą pamiątką, ale także niezmiernie wartościowym zbiorem autografów, rodzajem glejtu¹² – dla wyprawy.

Poza tym starano się zdobyć zawsze fotografie wybitnych osobistości, z których spora ilość zdobi kartki tej książki. Na każdej z tych fotografii, powiewa flaga polska.

Prócz licznych wiz, wyprawa zdobyła sobie listy polecające od rozmaitych organizacji społecznych, sportowych pokrewnych organizacji całego świata. Największe usługi i poparcie wyświadczył wyprawie Związek Harcerstwa Polskiego i Sokolstwo¹³, zwłaszcza amerykańskie, Automobilklub Polski, Polski Komitet Olimpijski, Naczelny Kapelan Związku Harcerzy, Polskie Zjednoczenie Gospodarcze i szereg osób prywatnych, ustosunkowanych za granicą. Pomimo szczerzej wdzięczności, jaką wyprawa żywi dla tych wszystkich osób i organizacji, brak miejsca nie pozwala wymienić ich szczegółowo.

¹² Glejt – dokument wydawany przez panującego, zezwalający danej osobie na przejazd przez jakieś terytorium, bądź zapewniający bezpieczeństwo osobiste; list bezpieczeństwa.

¹³ Mowa o Polskim Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”.

Wiele też uczyniła dla naszych podróżników prasa polska i urząd ruchu kołowego. Dzienniki, opisami swymi i ilustracjami, których im nie szczędzono, od razu spopularyzowały nie tylko samą wyprawę, ale, o co głównie chodziło, uświadomiły szeroki ogół o jej celach i zadaniach.

Kiedy więc wyprawa samochodem naokoło świata wyjeżdżała z Polski, to już w całym kraju było o niej głośno. Ta właśnie okoliczność zaostrzała energię i wytrwałość podróżników, którzy musieli sobie przyrzec w duchu, że nie zawiodą pokładanego w nich zaufania rodaków.

„Naturalnie – mówi druh Jeliński – że pierwszą osobą, do jakiej zwróciliśmy się z prośbą o audiencję, był Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, profesor Ignacy Mościcki. Ze wzruszeniem przekraczaliśmy progi starego Zamku Warszawskiego. Pan Prezydent okazał duże zainteresowanie wyprawą, raczył zejść na dziedziniec zamkowy, i z ciekawością oglądał nasz samochód wyrobu polskiego i jego urządzenia do podróży. On to położył pierwszy podpis w pamiątkowej księdze. Idąc na audiencję, mieliśmy coś w rodzaju tremy. Po raz pierwszy w życiu stawaliśmy przed tym, który był żywym wcieleniem odrodzonej Polski. Ale ten nastrój pierchnął od razu pod wpływem jakiegoś ojcowskiego ciepła, jakim było nacechowane całe zachowanie się Pana Prezydenta.

Na zakończenie poklepał nas, przyszłych podróżników, z dobrotliwym uśmiechem po ramionach, mówiąc: „No, chłopcy, wracajcie szczęśliwie”.

Byliśmy mu za to niezmiernie wdzięczni. Powzięliśmy otuchę i zaczęliśmy od razu spoglądać poważnie na wzięte na siebie dobrowolnie zadanie.

Zaraz nazajutrz wyprawa udała się swoim autem do Sulejówka, ażeby przedstawić się Marszałkowi, który także przyjął ją nader uprzejmie. Oglądał wraz z Panią Marszałkową i córeczkami auto, przeznaczone do odległych podróży, dziwiąc się, że w tak małym pudełku nasi skauci chcą objechać świat. Spytał się swojej córeczki, Wandzi, czy by nie zechciała wziąć udziału w podróży. Ale ostrzegł ją, że byłaby już dorosła, kiedy by z niej powróciła, i nikt by jej nie poznał.

W końcu odezwał się w te słowa: „Podejmujecie wielkie, propagandowe dla Polski dzieło. Gdy opaszecie flagą polską kulę ziemską, zameldujcie się u mnie, lecz w przeciwnym razie nie pokazujcie mi się na oczy”. Była to druga, jeszcze dobitniej wyrażona zachęta, a zarazem ostrzeżenie na wypadek, gdyby wyprawa, dla braku energii, cofnęła się z drogi przed osiągnięciem celu. Druh Jeliński mógł więc z podniesionym czołem po powrocie zameldować się u Marszałka, który wypisał w księdze pamiątkowej te słowa: „Szczęść Boże w podróży”

Członkowie wyprawy po tych dwóch audiencjach postanowili na drogę uzyskać błogosławieństwo kardynała Rakowskiego, który chętnie ich u siebie przyjął w pałacu przy ulicy Miodowej. Księżę Kościoła objawił żywe zadowolenie, że wyprawa zaopatrzyła się w list polecający od naczelnego kapelana Związku Harcerstwa Polskiego, Antoniego Bogdańskiego, w polskim i łacińskim języku do wszystkich władz duchownych. W księdze pamiątkowej raczył skreślić następujące słowa: „Aleksander Karol Rakowski z błogosławieństwem arcypasterskim”.

Następnie członkowie wyprawy składali wizyty panom marszałkom sejmu i senatu, rektorom uniwersytetu i politechniki, prezydentowi miasta, wyższym wojskowym i innym wybitnym ludziom. Wyjeżdżając, wyprawa miała już poparcie moralne swego społeczeństwa, o które jej bardzo chodziło, ze względu na propagandowy charakter przedsięwziętej podróży.

Nadchodziła piętnastoletnia rocznica działalności skautingu w Polsce, a jak już nadmieniałem, dzień ten wyprawa obrała sobie jako termin wyjazdu. Było to wielkie święto sportowe, w którym wzięła udział cała Warszawa. Na kilka dni przed tym Związek Harcerstwa Polskiego porozysyłał do związków sportowych, do prasy, do wybitniejszych osób zaproszenia na zawody jubileuszowe, na których było zaznaczone, że zaraz po igrzyskach nastąpi wyjazd i pożegnanie druhow, udających się samochodem w podróż naokoło świata. Niezależnie od tego członkowie wyprawy rozrzucali ze swego auta ulotki i kazali porozlepiać afisze, oznajmiające o dojściu do skutku zamierzonego wyjazdu.

Na boisku w parku Agricoli, dnia 30 maja, w zawodach brało udział kilka tysięcy druhow i druhen. Publiczności zaciekawionej zawodami, jak równie wyprawą samochodową, było jeszcze więcej. O godzinie 14 minut 30 samochód wjechał na boisko, z założoną po raz pierwszy z tyłu flagą polską, w pośrodku wielkiego czworoboku, złożonego z drużyn harcerskich, męskich i żeńskich. Przed trybunami przemówił dc członków wyprawy w imieniu ZHP dru Sedlaczek, w imieniu zaś chorągwi warszawskiej zegnał ją komendant – dru Tomasz Piskorski.

Z wielutysięcznych piersi harcerzy i publiczności popłynęła potężną falą przepiękna melodia Mazurka Dąbrowskiego. Członkowie wyprawy z bijącym od wzruszenia sercem zajęli miejsca w swym aucie, i w kordonie kolarzy wyruszyli w drogę wśród gromkich oklasków publiczności.

Kolarze opuszczają wyprawę już na Pradze, ale kilkanaście aut ze sportowcami towarzyszy jej do Wawra, auta zaś C.W.S.¹⁴ aż do Siedlec.

¹⁴ Skrót od: Centralne Warsztaty Samochodowe. Zakłady te działały w latach 1918-1928, następnie przekształciły się w „Państwową Wytwórnę Samochodów”.

Zamiast jednak ruszyć wprost na zachód, wyprawa skierowała się na Lublin do Lwowa, stamtąd przez Kraków na Cieszyn, w zamiarze zwiedzenia po drodze Śląska Górnego.

Wieczorem podczas pięknej pogody dotarto do Lublina, którego mieszkańcy przyjmowali wyprawę z iście staropolską gościnnością. Rozbito namiot za miastem, w obszernym ogrodzie, i tutaj spędzono pierwszą noc na biwaku. Zaraz jednak przekonano się, że nadmierny rozgłos ma swoje strony ujemne. Znużeni podróżą członkowie wyprawy łaknęli spokoju i spoczynku. Tymczasem zaś dokoła rozbitego pod drzewami namiotu zgromadził się duży tłum ciekawych, śledzący każdy ruch podróżników.

Nic nie pomogło ogrodzenie sznurem. Dzieciaki, nie zważając na ten kordon, zaglądały do namiotu, chodziły po piętach, słowem przekleństwo popularności od razu dało się odczuć z całym swym okrucieństwem.

Podróżni potrzebowali dość długiego czasu na to, żeby się oswoić z natręctwem ciekawskich, i w końcu doszli do takiego stanu, że nic sobie nie robili z tego, co ich pierwotnie wprawiało w wielkie zakłopotanie.

Na cześć wyprawy harcerstwo lubelskie urządziło wieczornicę, na której do późna zabawiano się różnymi popisami. Wesoło więc zakończył się pierwszy dzień podróży naokoło świata.

ROZDZIAŁ IV.

OSTATNIE DNI MIEDZY SWOIMI.

Próbny rajd nie dał członkom wyprawy całkowitego obrazu Odrodzonej Polski, dlatego też z Lublina skierowano się nie na zachód, ale na wschód, chcąc poznać Lwów i Małopolskę Wschodnią.

Wyprawa miała przed sobą dostatek czasu, nie potrzebowała się nigdzie spieszyć. Chociaż oficjalny wyjazd w podróż naokoło świata nastąpił w piętnastą rocznicę rozpoczęcia działalności skautingu, tj. w maju, to jednak rajd naokoło Polski, poprawki samochodu, zwiedzanie Lublina i inne przystanki pochłonęły dobre parę miesięcy, tak, iż kiedy wyprawa ruszyła z Lublina sierpień miał się już ku końcowi.

Niebawem miała się rozpocząć wielce interesująca wystawa handlu i przemysłu polskiego we Lwowie, zwana popularnie Targami Wschodnimi. Spodziewane się tam wielkiego napływu ludności z całego kraju. Okazję tę postanowiono wykorzystać dla dwóch celów: zapoznania ogółu z celami ekspedycji naokoło świata. a co ważniejsze, do zapoznania się gruntownego z rodzimym przemysłem, żeby móc następnie podnosić rozwój Polski w tym kierunku podczas pobytu za granicą.

Z Lublina ruszono tedy do Lwiego grodu, nie' spiesząc się i zwiedzając po drodze osobliwości kraju, zamki stare, zakłady przemysłowe, wzorowe gospodarstwa rolne, słowem uczono się i bawiono zarazem.

Robiono przeciętnie po kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Wszędzie, gdzie się znajdowały gniazda sokole albo drużyny harcerskie, zatrzymywano się cokolwiek dłużej. Druhowie czuli się w obowiązku nie tylko ugasać podróżnych, ale i służyć im za przewodników po okolicy, pokazując wszystko, co zasługiwało na bacniejszą uwagę. Teraz dopiero wyprawa zdołała należycie ocenić doniosłość i praktyczność organizacji sportowych, ogarniających cały kraj.

Wszędzie natrafiano na dobre przyjęcie, na wszelkie ułatwienia, na towarzystwo ludzi interesujących się sportem i celami wyprawy. W takiej przychylnej atmosferze, która wytworzyła się dzięki upowszechnieniu i rozszerzeniu organizacji skautowskich na cały obszar Polski, podróż odbywała się gładko, składnie i przyjemnie.

Tak podróżując, wyprawa znalazła się we wrześniu na rozległych placach obok parku Kilińskiego, gdzie odbywały się Targi Wschodnie. Zarząd wyznaczył jej miejsce na rozbiecie obozowiska. Mimo woli nasi harcerze stali się jedną z atrakcji wystawowych. Publiczność

tłumnie oblegała samochód, namiot, podróżników, którzy odwzajemniając się za dobre przyjęcie i gościnę, produkowali się z radiem wyrobu krajowego i gramofonem, na którym wygrywano melodie polskie.

Wystawa wywarła na podróżnikach wielkie wrażenie swoim bogactwem eksponatów i licznym napływem publiczności nawet z najdalszych okolic Polski. Odniesiono także i uboczną stąd korzyść, gdyż zdołano swoimi celami zainteresować dużą liczbę rodaków.

Pewnego dnia zjawił się w obozie druh motocyklista, syn sławnego geografa Eugeniusza Romera¹⁵. Naturalnie powitano go z radością. Dzięki synowi zdołano zapoznać się z ojcem. Szanowny profesor nader życzliwie potraktował wyprawą naokoło świata i udzielił jej szeregu cennych wskazówek i rad na przyszłość. Nakreślił w ogólnych zarysach marszrutę, której w dalszym ciągu dość skrupulatnie się trzymano i dzięki temu uniknięto wielu przykrości i niepowodzeń.

– Starajcie się, chłopcy, na zimę wędrować tam, gdzie ciepło – mówił profesor. – Ot, teraz przez południową Europę dostaniecie się do Afryki. Nie będziecie cierpieli na nadmiar gorąca, a kiedy nastanie wiosna na naszej półkuli posuwajcie się coraz bardziej na północ i starajcie się jeszcze podczas lata przejechać w poprzek Amerykę Północną.

Wprawdzie z tego ostatniego punktu rady zdołano skorzystać dopiero na rok przyszły, ale bądź co bądź profesor wyświadczył wyprawie niemałą przysługę. Kierowano się w ogólnych zarysach radami uczonego, szczegóły marszruty otrzymywano z automobilowych klubów; tam zaś, gdzie sportowe organizacje nie istniały, korzystano ze wskazówek konsulów polskich albo w ostateczności z rad miejscowej ludności, które nie były najgorsze.

W przeddzień wyjazdu ze Lwowa, do obozu w parku Kilińskiego, przyszedł student z zaproszeniami dla naszych skautów na wieczornicę, urządzoną przez kołoademiczek. Było to bardzo na rękę chłopcom.

– Trzeba dobrze wyprostować nogi, bo znów czeka nas długie siedzenie w aucie! - zawyrokował joga Smosarski.

Udano się więc gremialnie na wieczorek.. Była niezła muzyka, kanapki, herbata – ale za to panien w bród! Skauci tańczyli, póki im sił starczyło. Grali tam wśród ciekawych i rozentuzjasmowanychademiczek wdzięczną rolę nieustraszonych bohaterów. Druh Jeliński zwrócił uwagę na pewną słuchaczką filozofii, pannę Izę W., która wyróżniała się spośród

¹⁵ Eugeniusz Mikołaj Romer (1871-1954) – polski geograf, kartograf i geopolityk, twórca nowoczesnej kartografii polskiej. Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (od 1911) i Uniwersytetu Jagiellońskiego (od 1946).

koleżanek nie tylko urodą, lecz także dowcipem i inteligencją. Prosił ją kilkakrotnie do one steepa; w tym tańcu, jak wiemy, można swobodnie porozmawiać.

Toteż między dwojgiem młodych odbył się taki mniej więcej dialog: „Zazdroszczę panu tej podróży. Jakże pragnęłabym wziąć udział w podobnym przedsięwzięciu”.

– Zapomina pani o trudach i niebezpieczeństwach nieodłącznych od takiej wyprawy.

– Oh, niczego się nie lękam! Jeżeli pan wątpi, to złożę dowody!

– Jakie?

– Oto, po prostu pojedę z wami razem!

– Doprawdy? Dla młodej panny jest to cośkolwiek za śmiały projekt!

Rozmowa się na tym nie urwała; studentka na wpół żartem, na wpół serio podtrzymywała swoją propozycję. Projekty energicznej panny Izy rozbiły się jednak od razu; brak miejsca w samochodzie był decydującą przeszkodą, gdyby nawet nie liczyć się z innymi, poważnymi względami.

Studentka śmiała się szczerze ze swych zawiedzionych nadziei. Kiedy się już wieczornica miała ku końcowi, rzekła:

– Nie mogą z panami jechać, to trudno; wiedz pan jednak, że postanowiłam odbyć dużą podróż, w ostateczności, sama jedna. Spotkamy się niebawem gdzieś na tamtej półkuli.

– W Ameryce? – zagadnął druh Jeliński, który nie traktował poważnie tej zapowiedzi.

– Kto wie, może i w Ameryce! – odparła panna ze znaczącym uśmiechem. Życzę panu powodzenia w tej podróży; moja sympatia będzie panu towarzyszyła w dalekich krajach!

Podąła mu na pożegnanie dłoń, którą mocno uściśnął. Słowa panny Izy zbudziły w nim jakieś echo serdeczne. Spoglądał za nią, póki jej wdzięczna postać, otulona w krótki płaszczyk jedwabny, nie zniknęła w cieniu jesiennego wieczoru.

– Mieć taką dzielną towarzyszkę podróży, co by to była za radość! – myślał sobie nasz skaut.

Niebawem jednak w natłoku wrażeń wspomnienie o przelotnej znajomości z panną Izą zacierać się poczęło w umyśle podróżnika – aby kiedyś odżyć niespodzianie.

Po tygodniowym pobycie we Lwowie, gdzie nie omieszkało złożyć hołdu młodzieży poległej w obronie tego miasta, nasi skauci w wolnym tempie posuwali się na zachód, zdążając ku rubieżom Rzeczypospolitej.

Jeżeli inteligentne sfery społeczeństwa zwracały się z sympatią i zrozumieniem celów do wyprawy, to, niestety, ze strony ludu napotymano, jeżeli nie na obojętność, to nawet na nieprzychylność. W żadnej wiosce nie powitano uroczyście harcerzy, za to nie szczędzono im przycinków, nieraz bardzo komicznych.

Z entuzjazmem nasza czwórka powitała mury starej stolicy Jagiellonów. W Krakowie wiedzano już o wyprawie i magistrat chętnie się zgodził na to, żeby skauci rozbili obóz na plantach, w pobliżu Wawelu.

Nie trzeba chyba dodawać, że odwiedzały ich tłumy publiczności, miejscowe organizacje harcerskie dały zaś przewodnika po mieście. Podróżnicy mieli bezpłatne wejście do muzeów miejskich, z czego skwapliwie skorzystali, ażeby zapoznać się z bogatymi zbiorami i pamiątkami historycznymi.

Największe wrażenie zrobił na nich Wawel, którego odnowienie odbywa się od kilkunastu lat, tak, iż niebawem dawna wspaniała siedziba królewska wróci do pierwotnego splendoru. Pewnego dnia, kiedy nasza drużyna wracała z Katedry, gdzie zwiedzała groby królewski, w tramwaju zrobiono interesującą, jak się pokazało, znajomość. Z ławki wstał dwunastoletni chłopiec w mundurku gimnazjalnym i powitał podróżnych hasłem harcerskim: „Czuwaj”, ustępując starszym wilkom miejsca. Przedstawił się jako wnuk zasłużonego profesora uniwersytetu i uczonego dra O. Bujwida¹⁶. Oświadczył uprzejmie, że jego dziadek, który już słyszał o wyprawie, chętnie widziałby jej członków u siebie.

Nie śmiano skorzystać z tego zaproszenia; kiedy jednak młody harcerz zjawił się w obozie na plantach, udano się we czwórkę do mieszkania szanownego profesora, który z całą uprzejmością pokazał swoje laboratorium bakteriologiczne.

Zaopatrzył on podróżników w cenną dla nich surowicę przeciwko ukąszeniu jadowitych węzów. Profesor, który dodatkowo zajmuje się propagandą języka esperanto, oświadczył gotowość udzielenia lekcji tegoż członkom wyprawy, ażeby mogli się porozumiewać ze zwolennikami międzynarodowego języka w czasie swej długiej podróży.

Wprawdzie widok hodowli niebezpiecznych bakterii dżumy, cholery, tyfusu, wścieklizny i innych podobnych specjałów, podziałał bardzo źle na apetyty członków wyprawy, to jednak, kiedy znaleziono się przy obficie zastawionym stole szanownego profesora, odzyskano go natychmiast. Na zakończenie tego serdecznego przyjęcia profesor ofiarował każdemu z podróżników podręcznik esperanta, i kazał im przychodzić codziennie na lekcje.

Ponieważ, jak wiedzano z doświadczenia, po każdym wykładzie podawano doskonały obiad, więc nic dziwnego, że postępy w tym międzynarodowym języku były zdumiewająco szybkie. tak, iż szanowny profesor nie potrzebował żałować poświęconego na to czasu.

¹⁶ Odo Feliks Kazimierz Bujwid (1857-1942) – pierwszy polski bakteriolog, pionier higieny i profilaktyki lecznictwa, jeden z pierwszych polskich naukowców zajmujących się wytwórczością szczepionek leczniczych. Przeprowadził pionierskie szczepienia przeciwko wściekliznie.

W podróży noszono zawsze przy sobie słowniczek i nieraz, dzięki tym lekcjom, wybawiano się z kłopotu, kiedy trzeba było porozumieć się z jakimś cudzoziemcem.

Za to dzięki Opatrzności żaden wąż nie ukąsił druha Jelińskiego, przejechał on tylko w Colorado jakiegoś grzechotnika, jak również nikt z członków wyprawy nie zapadł na tężec, przeciwko któremu wyprawa, dzięki profesorowi, miała ze sobą skuteczną surowicę; ale jak powiada przysłowie: „strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

Z żalem wyprawa opuszczała gościnny Kraków. Zamierzono, przed opuszczeniem i pożegnaniem się z Polską, zwiedzić jeszcze tak szczęśliwie odzyskany Śląsk i jego olbrzymie zakłady przemysłowe, głównie zaś Chorzów, w którym, dzięki wiedzy obecnego Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Mościckiego, po opuszczeniu stanowisk przez niemieckich chemików, idzie nadal sprawnie użyteczna praca nad wiązaniem azotu z powietrza przy pomocy płomienia elektrycznego.

Złożywszy wizytę naszym sławnym salinom¹⁷ w Wieliczce, podróżni ruszyli na Katowice.

Komendantka tamtejszej chorągwi żeńskiej i męskiej, panna Wanda Jordanówna, energiczna i ceniona działaczka śląska, serdecznie zaopiekowała się naszymi druhami. Nakreśliła szczegółowy plan, według którego zwiedzono Śląsk. Postarała się o auta dla członków wyprawy, ażeby ich ford mógł odpoczywać beczynnio i sama jeździła z nimi do wszystkich godniejszych uwagi okolicach.

Znając dokładnie kraj i jego bogactwa, dawała cenne objaśnienia młodemu druhom. Zwiedzono najważniejsze kopalnie węgla, huty, sejm śląski, słowem przez kilka dni zapoznano się dość gruntownie z dziedziną piastowską, tak szczęśliwie przywróconą na łono dawnej swej macierzy. W końcu wyprawa znalazła się w Piekarach, gdzie w swoim czasie obecny prymas Polski, kardynał August Hlond, znajdował się na zaszczytnym stanowisku pierwszego biskupa śląskiego.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności natrafiono akurat na pobyt kardynała w kościele piekarskim; arcybiskup zebrał się wówczas ze swoimi dawnymi owieczkami i odprawił uroczyste nabożeństwo, na które zjechali się ludzie z dalekich okolic. Kiedy komendantka zameldowała wyprawę, arcybiskup łaskawie ją przyjął, pytał o cel podróży i własnoręcznie wypisał w księdze pamiątkowej następujące ciepłe słowa: „Nieś, drogi harcerzu, honor imienia polskiego na krańce świata. Piekary, August Hlond – Prymas Polski”.

¹⁷ Salina – zakład przemysłowy produkujący sól kamienną.

Równie serdecznie wypisała się do albumu komendantka panna Wanda Jordanówna, której niniejszym wyprawa składa gorące podziękowanie za doznaną opiekę.

Z Katowic skierowano się na Cieszyn, przez którego środek przechodzi obecnie granica Polski i Czechosłowacji. W miasteczku tym, pełniącym obowiązki granicznej straży Rzeczypospolitej, doznano równie serdecznego przyjęcia. Na samym wyjeździe jeden z instruktorów harcerskich ofiarował wyprawie na pamiątkę pudełeczko metalowe z garścią ziemi polskiej. Pudełeczko to stało się później cenną relikwią w ręku druha Jelińskiego w Ameryce. Imigranci, którzy przed trzydziestoma laty opuścili Ojczyznę w pogoni za kawałkiem chleba, ze łzami w oczach dotykali tej świętości i prosili jak o największą łaskę, ażeby pozwolono im choć dotknąć tej okruszyny ziemi, przesiąkniętej krwią i potem rodaków. Pudełeczko towarzyszyło wyprawie cały ciąg podróży, budząc niewygasłe uczucia patriotyczne w sercach synów Polski, skazanych losami na przebywanie wśród obcych, gdzieś na krańcach świata. W końcu powróciło do owego prazródła, oblana łzami i nasiąknięte tęsknotą wygnańców.

Zbliżała się chwila przełomowa, przekroczenia granicy Polski. Auto stanęło na moście granicznym, u słupa z barwami polskimi. Zgromadziła się tutaj liczna grupa Polaków cieszyńskich, którzy odprowadzali wyprawę do granicy, obsypując ją ciepłymi słowami życzeń i podarkami na drogę.

Po drugiej stronie mostu, na samym wstępie na obcą ziemię, druhowie spotkali zastęp skautów cieszyńskich; dyrektor tamtejszej szkoły polskiej na czele swych uczniów powitał podróżników patriotyczną przemową i zaprosił ich, ażeby przenocowali w gmachu gimnazjum. Wyprawa jednak ruszyła niezwłocznie dalej, gdyż stanowisko władz czeskich względem niej wydało się zagadkowym. Polska przechodziła niedawno poważne przesilenie polityczne i to wywoływało pewną nieufność w naszych sąsiadach.

Fordzik, nie zatrzymując się, szparko sunął gładkimi szosami w kierunku Pragi Czeskiej.

ROZDZIAŁ V. PRZEZ CZECHOSŁOWACJĘ.

Wnet po opuszczeniu granic Rzeczypospolitej wyprawa, dotykalnie, że się tak wyrażę, odczuwała brak rodzinnego gruntu pod nogami. „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej” – słusznie powiada przysłowie.

Przyzwyczajeni do gościnnego i serdecznego przyjęcia, jakiego nie szczędzono jej w Polsce, wyprawa znalazła się od razu w obcej atmosferze, która owionęła ją lodowatym podmuchem. Jednakże przez jakiś czas jeszcze stykano się z rodakami, rozrzuconymi – niby wyspy po obcym morzu – na obszarach Moraw. W Orłowej znajduje się dość liczna kolonia polska, która zgotowała rodakom serdeczne przyjęcie. Koło Macierzy Szkolnej zaofiarowało podróżnym prawdziwie polską gościnność, która wielce się różni od gościnności czeskiej. Przenocowano ich w gimnazjum. Auto stało na dziedzińcu szkolnym. Po drugiej stronie ulicy pracowali murarze czescy koło budowy domu; nie omieszkali oni powitać „braci Polaków” cegłą celnie rzuconą w auto, na którym powiewała flaga polska. Jako pamiątkę po tym powitaniu fordzik nosił szramę na swej karoserii.

Zachowanie się władz względem wyprawy było bardzo podejrzliwe. Nie robiono wprawdzie żadnych szykan ani trudności, ale badano starannie dokumenty podróżne. Przy okazji przekonano się, że tak reklamowane i uchodzące w opinii świata za doskonałe szosy czeskie są, niestety, nie wiele co lepsze od polskich. Trzeba jednak przyznać Czechom, że umieją się dobrze i skutecznie reklamować, tak iż świat jest przekonany, że wszystko co czeskie zasługuje na podziw. Naród ten, w dobrze pojętym interesie własnym, nie żałuje grosza na ten cel. Brak propagandy polskiej zaś wszędzie daje się dotkliwie odczuwać.

Placówki polskie stawały się coraz rzadsze. Ostatnią, albo jedną z najbardziej ku zachodowi wysuniętą, jest nasza kolonia w Ostrawie Morawskiej. Tutaj po raz ostatni wyprawa odetchnęła ciepłą atmosferą ojczystą. Najprzód spytano podróżników, czy nie są głodni, później dopiero, ugościwszy ich, zadawano im pytania, co słychać w kraju. Ale potem już się z tym wszystkim wypadło pożegnać na długo.

Tylko w polskich placówkach konsularnych, które wyprawa nie omieszkała odwiedzać przy każdej sposobności, kosztowano jeszcze tej ojcowskiej i serdecznej opieki, nie tylko moralnej, ale i materialnej, w postaci wygodnego noclegu i dostatniego posiłku.

Z żalem opuszczano Morawską Ostrawę, gdzie Koło Macierzy Szkolnej robiło wszystko, co tylko leżało w jego mocy, żeby natchnąć dobrą otuchą podróżników, niosących

imię i honor harcerstwa polskiego w świat szeroki. Od tej miejscowości fordzik przemierzał już obce ziemie, w szybkim tempie zbliżając się do stolicy Czechosłowacji, dumnie zwanej przez Czechów „Złata Praha”.

Rodacy w Ostrawie poufnie ostrzegali przed drażliwością patriotyczną Czechów, którzy boleśnie odczuwają każde słowo cudzoziemca, krytyczne w stosunku do ich Ojczyzny. Niestety jakże inaczej dzieje się u nas. Lada cudzoziemiec pozwala sobie nieraz krytykować wszystko co polskie, a nawet szydzić; a znajdują się Polacy, którzy, zamiast oburzyć się na to, jeszcze przytakują obcemu i przed nim wylewają swoje żale na nasze bolączki. A przecież nie ma kraju na świecie, w którym wszystko byłoby bez zarzutu. Powinniśmy się uczyć od Czechów tego poszanowania dla wszystkiego co swoje, i ocenić ich drażliwość patriotyczną, której nam brakuje.

Nareszcie po kilku dniach podróży ujrzano z dala wieże i pagórki Pragi. Po wspaniałym moście¹⁸, ozdobionym licznymi posągami, wjechano do stolicy. Pierwszą czynnością było udanie się na pocztę, gdzie czekała cała plika listów z Polski. Lecz w miarę tego, jak się oddalano od Ojczyzny, korespondencja malała w zastraszający sposób, aż wreszcie rozpoczęły się smutne okresy, kiedy w ciągu całych miesięcy nie otrzymywano ani jednego listu z dalekiej Ojczyzny.

Automobil Klub czeski, do którego zgłoszono się, ażeby wyznaczył najdogodniejszą marszrutę po Czechosłowacji, potwierdził ilość przebytych kilometrów; przyjął naszych sportowców wprawdzie uprzejmie, ale wahał się widocznie, czy przyznać im międzynarodową odznakę klubową. Dopiero, kiedy wyprawę przyjął na specjalnej audiencji prezydent Masaryk¹⁹ i kiedy w miejscowej prasie zjawiły się liczne artykuły i fotografie, dotyczące naszych podróżników i ich celów, pospieszono z wręczeniem emblematu klubowego, który druż Jeliński przyczepił zaraz na chłodnicę samochodu.

W miarę tego, jak się posuwano dalej, ilość tych emblematów wzrastała, pokrywając coraz bardziej chłodnicę i maskę auta, co podnosiło niezmiernie autorytet wyprawy w nowo zwiedzanych krajach, i jednało jej wszelkie ułatwienia w podróży. Początek tego zrobili, należy podkreślić, Czesi, za co wyprawa była im niezmiernie wdzięczną.

Po przyjeździe zameldowano się w zarządzie skautingu czeskiego, który wyznaczył samochodowi miejsce postoju w swoich barakach u mostu, gdzie się mieściły lokale drużyn. Rozmaici komendanci zapraszali z całą uprzejmością naszych podróżników na powitalne

¹⁸ Mowa o 516-metrowym Moście Karola na Wełtawie, w okresie baroku ozdobionym trzydziestoma posągami świętych.

¹⁹ Tomáš Masaryk (1850-1937) – pierwszy i najdłużej urzędujący prezydent Czechosłowacji, nazywany *ojcem niepodległej Czechosłowacji*.

przyjęcia. Powtarzało się to w ciągu kilku dni z rzędu. Skauci czescy bywali, jak okazało, w Polsce, i nie mogli się nachwalić gościnności, doznanej w naszym kraju.

Spodziewano się przeto sutego rewanżu. Nareszcie przyszła ta od dawna oczekiwana chwila, kiedy nasi chłopcy przekroczyli progi świetlicy skautowskiej czeskiej. Druhowie zapełnili stronicę księgi pamiątkowej specjalnie przeznaczonych dla skautów, braterskimi powitaniem i życzeniami, przy czym prosili, ażeby dobrze zapamiętać ich nazwiska, gdyż wybierają się do Polski na zjazd skautowski.

Śpiewano, wygłaszano przemówienia, słowem wytworzyła się dość przyjemna atmosfera. Niestety nie tylko duch, lecz i ciało, potrzebuje pokrzepienia. Nasi chłopcy, naśpiewawszy się do woli, mieli wilcze apetyty i oczekiwali z upragnieniem „uczty”, na którą byli uprzejmie zaproszeni. Jednakże okazało się, że cnota gościnności, która jeszcze kwitnie w Polsce, wygasa, niestety, na zachodzie Europy. Owe zapowiadane kilkakrotnie „przyjęcie” ograniczyło się do szklaneczki pochodowej herbaty, mizernej lurki, do której wspaniałomyślnie dołączono po pierniczku. Dodać należy dla wiadomości naszych rodaków, którzy wybierając się za granicę, liczą zbyt wiele na gościnność, że te pierniczki były przyniesione przez najmłodszych skautów, którzy też najbardziej się entuzjasmowali podróżą naokoło świata.

Nasi chłopcy, którzy mieli bardziej zacofane pojęcia o gościnnym przyjęciu, no i w dodatku niezaspokojone apetyty, zaproponowali czeskim druhom, żeby ci odwiedzili wzajemnie ich w obozowisku. Usłuchano chętnie tego wezwania i hurmem udano się na biwak. Przy melodiach polskich piosenek, odtwarzanych przez parlofon wyprawy, w mgnieniu oka znikły doszczętnie zapasy żywności, zabrane na drogę.

Polscy skauci pokazali, jak pojmują gościnność. Zaśpiewano im kilka czeskich piosenek i na tym skończyło się to zapowiadane przyjęcie polskiej wyprawy przez drużyny czeskie. „Zastaw się a postaw się” – powiada nasze przysłowie.

Po tym „zastawieniu się”, nasi chłopcy przez cały tydzień musieli mocno ścisnąć paski. Nauczka ta jednak przydała się im na przyszłość. O ile nadal trzeba było „wystąpić”, to ujawniono przezornie tylko małą cząstkę posiadanych zapasów.

O, gościnności polska, która kwitniesz na ojczystych łąkach, jak kwiatek wśród zimowej zawiei! Najbardziej może ze wszystkich członków wyprawy odczuł to swoiste pojmowanie obowiązków gospodarzy druha Ł. Człowiek ten z chwilą opuszczenia granic Polski, zapewne pod wrażeniem dowodów uznania, nieszczędzonych wyprawie, z każdym dniem rósł we własnych oczach. I, niestety, wzrost jego ambicji stał się wprost chorobliwym;

cierpiał na to, co w medycynie nazywa się „akromegalią”²⁰. Z początku na jego piersi zjawił się krzyż harcerski, po tym obok niego zakwitła nieśmiało wstążeczka orderu walecznych. I w miarę tego jak oddalano się od Polski, pierś tego człowieka pokrywała się coraz to liczniejszymi odznakami. Były tam ordery: za front bolszewicki; powstańca wielkopolskiego i górnośląskiego; na granicy Jugosławii, ku wielkiemu zdziwieniu tamtejszych wojskowych, druha Ł. był już udekorowany orderami francuskimi, węgierskimi i austriackimi. Jeden rząd odznak okazał się dla niego niewystarczającym, pod nim zaświecił drugi. Szanowny kolega naśladował znać założyciela skautingu, generała Baden-Powella, którego fotografię, noszoną przy sobie, starał się w tych szczegółach jak najdokładniej skopiować.

Daremnie koledzy zwracali mu uwagę na niestosowność takiego postępowania, nie licującego z pojęciami honoru harcerskiego. Druha Ł. w końcu sam zaczął wierzyć, że te liczne odznaczenia należą mu się bezspornie, a jeżeli ich jeszcze nie otrzymał, to jednak we własnym przekonaniu w zupełności na nie zasługiwał. Każdemu z ciekawych w odmienny sposób wyjaśniał zasługi, za jakie je otrzymywał; ale to nie przeszkadzało mu dumnie zadzierać głowy. Szykował się on na dyplomate, musiał więc zawczasu przyzwyczaić swoją pierś do dźwignia tak cennego ciężaru. Lecz przysłowie powiada, że „dopóty nosi dzban wodę, póki się ucho nie urwie”. Wobec marnych cywilów można było jako tako błagować. Ale gorzej, kiedy jaki zbyt ciekawy oficer albo dyplomata zainteresował się bliżej pochodzeniem odznak u młodego skauta, które również sam nosił.

Druha Ł. nie lubił takich zapytań, starannie przeto unikał wszelkiej urzędowej styczności z panami oficerami, a zwłaszcza z attachés²¹ wojskowymi przy obcych armiach. Koniec tej parady w cudzych piórkach musiał prędzej czy później nastąpić. Druha Ł. nieczuły na wyrzuty i protesty swoich towarzyszy podróży, wpadł koniec końców szkaradnie.

Jeżeli towarzysze nie protestowali czynnie przeciwko temu nadużyciu, to głównie dlatego, że druha Ł. cieszył się najpokaźniejszym wśród nich wzrostem i na wiek swój imponującą siłą fizyczną.

Zachowanie się druha Ł. było tego rodzaju, że wyprawa po spisaniu w poselstwie polskim protokołu, musiała się z nim rozstać raz na zawsze.

Druha zaś Brettschneider, filmowy operator wyprawy, któremu zresztą nic nie można było, jako człowiekowi, zarzucić, udrećzał towarzyszy w podróży na swój sposób. Przede wszystkim przepowiadał każdemu z nich, że dzięki niemu zostanie prędzej czy później, jedną

²⁰ Akromegalia – choroba spowodowana nadmiernym wydzielaniem hormonu wzrostu; powoduje m.in. rozrost tkanek miękkich i przerost kości.

²¹ Attaché – dyplomata oddelegowany na placówkę dyplomatyczną, działający w danej dziedzinie (np. attaché kulturalny, attaché wojskowy).

z najjaśniejszych gwiazd ekranu. Poza tym znajdował piękno tam, gdzie jego towarzysze nie widzieli nic godniejszego uwagi. Zatrzymywał auto co kilkanaście kilometrów. Kazał Jelińskiemu, który je prowadził, zawracać, zbaczać z drogi, słowem nieraz doprowadzał do czarnej rozpaczki kolegów.

Razu pewnego, a było to podczas zimy, kazał im na mrozie poubierać się w lekkie kostiumy sportowe i filmował szczękających zębami, pocieszając ich, że zaimponują rodakom swymi wyczynami w sporcie zimowym. Wprawdzie kosztowało to jego towarzyszy niezliczoną ilość katarów i przeziębień, lecz ambicji pana Brettschneidera musiało stać się zadość. Cierpiał on na ostry „filmiritis”, a kolega zaś Jeliński, według jego zdania, chorował na równie ciężkie objawy „automobilitisu”, czego dawał dowody, nie pozwalając nikomu tknąć swego „fordzielca”, a nawet krytykować jego sprawności.

Co do czwartego uczestnika wyprawy, druha Eugeniusza Smosarskiego, brata znanej gwiazdy filmowej²², uprawiał on z głębokiego przekonania i niezmiernie sumiennie „hatha jogę”²³, czyli naukę filozofów indyjskich o utrzymaniu zdrowia fizycznego. W myśl tej nauki, którą był do głębi przejęty, rozpoczynał dzień od gruntownego mycia całej swej powłoki doczesnej w pierwszym lepszym strumieniu, a w braku tego w rowie przydrożnym. To gruntowne oczyszczanie ciała nie przeszkadzało mu w godzinę po tym wykąpać się w jakimś ładniejszym strumyku. Nieraz było wyprawie bardzo pilno dojechać do jakiegoś z góry wytkniętego celu, ale druh Smosarski, nie licząc się z czasem, dokonywał najskrupulatniej swych obrzędowych jogowych ablucji.

Równie wielką systematyczność w spełnianiu przepisów hatha jogi zachowywał przy jedzeniu i piciu. Nigdy się nie spieszył, bo jogowie nakazują nie tylko wstrzeźliwość, ale także powolne żucie. Nieraz wszyscy jego towarzysze już dawno zjedli swoje porcje, on zaś siedział z całą powagą nad swoją, czym robił wrażenie, że otrzymał znacznie więcej, budząc zazdrość towarzyszy, zresztą nieusprawiedliwioną. Czego w ciągu długiego posiedzenia nie zdążył skonsumować zgodnie z przepisami hatha jogi, to starannie chował po kieszeniach.

Kiedy spał, każdy z jego kolegów w napadzie zbyt ostrego apetytu mógł liczyć na to, że znajdzie w jego kieszeni kilka skórek od chleba lub jakiś owoc suszony. Druh Smosarski, jako wyznawcy jogi, mięsa nie tykał wcale, ku wielkiemu zadowoleniu kolegów, którzy jego porcje brali na siebie. I rzecz znamienne! Podczas kiedy towarzysze druha Smosarskiego chudli wyraźnie, w miarę tego jak czas upływał, to on sam wyglądał znakomicie i nabierał

²² Jadwiga Smosarska (1898-1971) – polska aktorka. W latach 1919-1937 Wystąpiła w 24 filmach, zagrała też około 100 ról teatralnych. Od 1939 roku przebywała w USA.

²³ Hatha-joga – jedna z najbardziej znanych na Zachodzie tradycji indyjskiej jogi, bazująca głównie na pozycjach ciała zwanych *asana*, sześciu procesach oczyszczających *krija* oraz na kontroli oddechu (*pranajama*).

tuszy. Było to w jego przekonaniu najlepszym dowodem skuteczności przyjętego reżimu.

Czystość fizyczna była najwybitniejszą cechą, jak go nazwano „joga”. Na każdym dłuższym postoju zabierał się on do prania swojej bielizny. Niestety, nie zawsze mógł się doczekać aż wyschnie gdzieś na krzaku albo na trawce. Musiał więc mokrą zabierać do auta, które skutkiem tej metody, obok flag narodowych, było nieraz przyozdobione wywieszoną przez okno koszulą, lub jaką inną, niezbyt dyskretną częścią garderoby.

Druh Smosarski jadł powoli, a myślał nie pędzej. To, do czego jego towarzysze dochodzili w ciągu kilku minut, on przetrawiał w swoim mózgu przez kilka godzin; ale trzeba było przyznać, że zamsze umiał wszystko trafnie przewidzieć i gruntownie przemyśleć, dzięki czemu wyprawa unikała błędów i niespodzianek. Był on dla ekspedycji niezbędny, posiadał już pewne doświadczenie z dawniej odbytych podróży, znał kilka języków i służył za tłumacza w licznych wypadkach.

Zaraz po przybyciu do Pragi Czeskiej udano się do poselstwa polskiego z prośbą o wyjednanie audiencji u prezydenta, profesora Masaryka.

Pan Brettschneider, przejęty do głębi ważnością funkcji, którą miał przy tym pełnić, urządził generalną próbą. Ustawiał kolegów niezliczoną ilość razy, kazał im przybierać różne pozy i dawał moc wskazówek jak się mają zachować podczas kiedy on puści w ruch swój aparat. Słowem dał się kolegom porządnie we znaki, co mu zresztą chętnie wybaczone dla ogólnego dobra.

Przedstawiciel rządu polskiego, pan Karszo-Siedlewski, w wyznaczonym dniu siadł w swoje luksusowe auto, za nim pomknął na zamek hradczański skromny fordzik wyprawy, z flagą polską i czeską. Uprzedzeni adiutanci wyszli na spotkanie gości. Zastano tam delegata skautingu czeskiego, w którego towarzystwie z panem Karszo-Siedlewskim na czele, udano się na salony rezydencji prezydenta Masaryka. Raczył on położyć swój podpis w księdze pamiątkowej, obejrzawszy dokładnie autografy polskich dostojników. Po tym zaczął się popis kolegi Brettschneidera, który z zapałem filmował audiencję. Ten pierwszy jego występ na obcym gruncie powiódł się doskonale.

Żegnając wyprawę, prezydent zwrócił się do delegata skautów czeskich ze słowami, w którym brzmiał pewien odcień wyrzutu: „A kiedy wy coś podobnego zrobicie?”.

Wynik praktyczny tej audiencji okazał się bardzo cenny dla wyprawy, odtąd bowiem sam portret prezydenta Masaryka w otoczeniu członków wyprawy, i jego podpis w księdze, były jakby paszportem dyplomatycznym podczas podróży po Czechosłowacji i przy wjeździe do Austrii.

Burmistrz miasta Pragi, któremu wyprawa nasza się przedstawiła na ratuszu, przyjął ją

uprzejmie, pokazał osobiście rynek, objaśniając jego najgodniejsze uwagi osobliwości, między innymi słynny zegar pod wieżą ratuszową. Zachęcał on gorąco naszych chłopców do zwiedzenia miasta, mówiąc, że sam kawał świata zjechał, a tak pięknego grodu nigdzie nie widział. Był to nowy dla nich dowód, jak dalece Czesi przywiązują wagę do tego, żeby świat interesował się wszystkim, co u nich zasługuje na wyróżnienie. Słowem propaganda polityczna, na każdym kroku! Idąc za jego radą, Brettschneider, sekundowany przez reporterów, porobił kilkanaście zdjęć, na których nasi chłopcy figurowali obok różnych pamiątek, jak np. Hussa, muzeum, które mówiąc nawiasem, posiada bardzo ciekawe zbiory mineralogiczne itd. Zdjęcia te ukazały się nazajutrz w dziennikach, wraz z artykułami o podróżnikach skautach.

Wyprawa osiągnęła zatem swój główny cel, którym była propaganda polityczna na rzecz Polski.

Prezydent miasta dał członkom wyprawy albumy miasta z własnym podpisem, oraz lożą w Teatrze Narodowym, który stanowi chlubą Czechów. Jest on bowiem postawiony za fundusze zebrane z groszowych składek całego narodu czeskiego, jeszcze za czasów budzenia się ruchu narodowego z uśpienia. Trafiono na znaną dobrze z Warszawy „Sprzedaną Narzeczoną” Smetany.

Stolica czeska jest istotnie miastem bardzo ładnie położonym i pełnym ciekawych zabytków architektonicznych. Wyprawa bawiła tam kilkanaście dni, po tym opuściwszy stolicę, obozowała jeszcze w kilku miejscowościach, badając życie skautów i sokołów tamtejszych. W każdym niemal miasteczku istnieje piękny gmach gniazda sokołów, którego front zwrócony jest ku najbliższej granicy państwa. Na samym szczycie stoi wykonana w kamieniu postać dorodnego, zdrowego chłopca, sokoła, z oszczepem lub dyskiem w ręku. Na zapytanie, dlaczego budynek i stojący sokół są zwrócony właśnie w tę, a nie w inną stronę, pewien Czech wyjaśnił członkom wyprawy: „Tu w tym kierunku leży granica austriacka; ćwicząc młodzież, zawsze przypominamy jej, że silne i sprawne mięśnie mogą skutecznie odeprzeć wroga ojczyzny”. Wyprawa jednak widziała takie same postacie, skierowane frontem do granicy polskiej i niemieckiej.

Trzeba przyznać, że sokolstwo czeskie pod względem liczebności członków, w stosunku do ludności kraju i organizacji oraz stopnia wyćwiczenia, stoi na najwyższym bodaj poziomie w całym świecie. Gmachy gniazd sokolskich są solidne, duże, pięknie zbudowane i wyposażone sownie w sprzęt gimnastyczny. Posiadają także doskonałych instruktorów. Między miastami odbywa się na tym tle konkurencja. Złoty sokolskie są bardzo silnie obsyłane i stały się do pewnego stopnia świętami narodowymi. Skauting nie cieszy się w

Czechach taką popularnością jak sokolstwo. Te dwie organizacje sportowe nie uzupełniają się wzajemnie, jakby tu nakazywała logika, ale idą rozbieżnie. Między skautami, zarówno jak i w gniazdach sokolskich, napotkać można bardzo młodych chłopców.

Ogólnie mówiąc, skauting tutaj jak i wszędzie, nosi charakter międzynarodowy, gdzie przewodnimi ideami są powszechne braterstwo; sokolstwo zaś daje przytułek narodowo uświadomionym i patriotycznie czującym się jednostkom, nosi zatem charakter polityczny.

ROZDZIAŁ VI.

PRZEZ AUSTRIĘ NA WĘGRY. NIEBEZPIECZNA PRZEPRAWA.

Niebawem fordzik stanął na granicy nowego państwa austriackiego, mocno obciążonego na skutek udziału w wojnie światowej. Chłopcy, słuchając mowy niemieckiej, przypomnieli sobie smutne czasy okupacji i czuli się bardzo nieswojo w nowym otoczeniu, zwłaszcza, że urzędnicy celni i żandarmi na widok barw polskich, obok których zresztą zawieszono i flagę austriacką, zachowywali się z wielce chłodną rezerwą. Zaczęto skrupulatnie badać zawartość auta, nawet sięgano do kieszeni samochodowych, przetrząsając osobiste bagaże członków wyprawy.

Widząc tak nieprzychylnie zachowanie się Austriaków, dyplomatyczny zawsze Smosarski, wyciągnął papiery osobiste, nie omieszkawszy wetknąć między nie świeżo zrobioną fotografię na tle zamku w Pradze z prezydentem Masarykiem. Fotografia ta, a może jeszcze bardziej sam podpis samego Masaryka w księdze pamiątkowej, od razu zmieniły nastrój władz austriackich z wrogiego na wielce przyjazny. Zaniechano przetrząsania bagaży i przeglądania dokumentów osobistych. Przepuszczono auto bez trudności, za co chłopcy byli bardzo wdzięczni swojemu jodze.

Jak Austria dzisiejsza jest mała. dowodzi fakt, że dobrze się rozpędziwszy, druh Jeliński w ciągu kilku godzin wpadł jak bomba do Wiednia, kierując się prosto przed gmach poselstwa polskiego.

Chłopcy czuli się znowu na własnym gruncie, ujrawszy na gmachu orła białego. Ale kiedy przekroczyli progi konsulatu, który mieści się w tym samym gmachu, oblano ich zaraz na wstępie kubłem zimnej wody. Urzędniczki konsulatu, pomimo iż były zawczasu przez poselstwo czeskie i przez prasę polską w Wiedniu poinformowane o przyjeździe wyprawy, odzywały się do podróżników wyłącznie w języku niemieckim. Było między nimi dużo typów wschodnich. Zrobiło to na naszych chłopcach bardzo ujemne wrażenie. Dopiero wieczorem zjawili się urzędnicy konsulatu, bardzo sympatyczni ludzie, oznajmiając, że pan poseł Bader zaprasza ich na następny dzień do poselstwa..

Pierwszą noc spędzono w domu „Imki” wiedeńskiej; auto zaś ulokowano w garażu poselstwa. Tego samego jeszcze dnia zjawił się redaktor „Dzisiejszej Polski”, pan Michał Orlicz, który w imieniu prasy polskiej w Wiedniu powitał wyprawę. Miły ten człowiek doskonale włada językiem niemieckim, pisuje artykuły w sprawach polskich do pism miejscowych i cieszy się nie tylko wielką popularnością w kołach polskich, ale jest wysoko

ceniony przez nasze poselstwo. Pan Bader nazywa go jednym z głównych trzech filarów polskości w Wiedniu. On to wprowadził wyprawę do redakcji dzienników poczytnych w stolicy i zapoznał ją z drugim filarem polskości, najślawniejszym podówczas artystą filmowym, Polakiem – Igo Symem²⁴, którego gra podbiła sobie serca wszystkich wiedeńczyków.

Dzięki panu Orliczowi dzienniki niemieckie zaczęły dużo pisać o wyprawie i zainteresowały nią ogół. I tutaj więc propaganda na rzecz Polski poszła szybkim krokiem naprzód. Pan poseł Bader przyjął w poselstwie członków wyprawy, wraz z licznie zaproszonymi gośćmi, podwieczorkiem, co im dało sposobność zapoznania się z liczną jeszcze w Wiedniu kolonią polską.

Powaga i zasoby najliczniejszego stowarzyszenia, noszącego nazwę „Strzecha”, nie odpowiada, niestety, stanowisku mocarstwowemu Polski. „Strzecha” nie ma własnego domu i tuła się po obcych lokalach. Nie masz tutaj tej solidarności narodowej, jaka cechuje Polaków amerykańskich.

Redaktor Orlicz zapoznał członków ze wspomnianym artystą filmowym, Igo Symem, który także brał udział w podwieczorku u posła Badera. Jest to człowiek nadzwyczajny. Dość, żeby się okazał w jakim towarzystwie, a od razu podbija sobie sympatią wszystkich obecnych swoim przemiłym zachowaniem się, ujmującą powierzchownością oraz inteligencją. Jest on w całym znaczenia gwiazdą ekranową pierwszej wielkości; dyrektorowie studiów kinowych wyrrywają go sobie i płacą bajeczne honoraria za jego występy.

W owym czasie siedł we wszystkich kinach wiedeńskich obraz „Prater Mici”, w którym Igo Sym grał główną rolę. Zainteresowawszy się wyprawą, wziął ją na parę dni pod swoją opieką i zaprowadził do „Ogrodu Rozrywek” na Praterze, gdzie pospołu z naszymi chłopcami oddał się zabawie. Wszędzie poznawano go i wiedeńczycy, którzy się w nim wprost kochali, na każdym kroku robili mu szumne owacje. W końcu udał się z nimi do wytwórni filmowej, gdzie na jego prośbę zademonstrowano wspomniany obraz. Był on w nim rzeczywiście niezrównany. Jego obecność w Wiedniu nie mało się przyczynia do propagandy polskości, tak iż pan poseł Bader słusznie nazywa go drugim swym filarem.

24 Igo Sym, właśc. Julian Sym (1898-1941) – polski aktor (w latach 1925-1939 zagrał w 14 filmach polskich i niemieckich), kolaborant. Za współpracę z III Rzeszą Wojskowy Sąd Specjalny ZWZ wydał na niego wyrok śmierci. Zamach przeprowadzono 7 marca 1941 roku. W odwecie za śmierć Igo Syma Niemcy wzięli 118 zakładników, spośród których 21 osób rozstrzelano w Palmirach.

Trzecim filarem był nasz tenor Kiepora²⁵, który jednak niechętnie obcuje z rodakami i bardzo wysoko ocenia swój udział w koncertach na rzecz kolonii polskiej.

Wiedeń powojenny jest podobny do wielkiej głowy, osadzonej na małym kadłubie. Trudno zrozumieć, jak paromilionowe miasto może się utrzymać na tak okrojonym kraju, jakim jest obecnie Austria. Jednakże pracowici wiedeńczycy dają sobie jakoś radę, dzięki kilku swoim specjalistom, w których trudno z nimi konkurować: głównie przemysłowi metalowemu, skórzanemu i licznym bankom. Lecz znać też wszędzie biedę; istnieje nawet, choć nie w tym stopniu, co np. w Warszawie, nędza mieszkaniowa. Ceny na artykuły żywnościowe są bardzo wysokie.

Zwiedzono Wiedeń, który robi na obcych przyjemne wrażenie pięknem, szerokością swoich ulic, wesołym i bardzo uprzejmym zachowaniem się mieszkańców. Jakże kiepsko wyglądają przy wiedeńczykach nasi warszawiacy pod tymi względami. W Wiedniu konduktor pytającego się o jakąś ulicą cudzoziemca poinformuje z całą usługowością, zatrzyma specjalnie dlań tramwaj, żeby mu pokazać kierunek. Należałoby naszych konduktorów tramwajowych posłać na naukę grzeczności do Wiednia, na czym nasza publiczność wiele by skorzystała.

Opuszczono stolicę Austrii w towarzystwie panów Orlicza i Igo Syma, którzy na swym pięknym aucie odprowadzili skautów poza miasto. W wiedeńskim Automobilklubie otrzymano wskazówki co do marszruty na Budapeszt. Wnet się okazało, że informacje te były niedostateczne, albo nawet zgoła fałszywe. Dotarłszy do granicy węgierskiej, chłopcy dowiedzieli się, że na drodze, którą im wskazano, władze celne nie przepuszczają samochodów do Węgier. Austriacy, z widoczną złą wolą, wskazali wyprawie jakąś poprzeczną, polną drogę, zapewniając, że można nią dojechać do szosy, prowadzącej na znaczniejszą komorę graniczną. Biegła ona samą niemal granicą austriacko-węgierską.

Ufając tym wskazówkom, zawrócono auto, naoliwiono je dokładnie i puszczono się śmiało we wskazanym kierunku. Zaledwie jednak ujechano kilka kilometrów, gdy ujrzano rozciągające się w pomroce nocnej obszerne mokradło. Sprawdzono troskliwie mapę automobilklubu. Droga bezsprzecznie istniała. Napotkany na małym wózku, zaprzężonym w tłuste i silne konie, kmiotek zapewnił, że można tędy od biedy przejechać. Niebawem okazało się, że wymagania forda są o wiele wyższe niż wiejskiej furki. Zapuszczono się jednak w zagadkowe mokradła. Było to, jak się niebawem okazało, bardzo ryzykowne przedsięwzięcie.

²⁵ Jan Wiktor Kiepora (1902-19866) – polski śpiewak i aktor. Cieszył się prawdopodobnie największą międzynarodową sławą i popularnością spośród polskich śpiewaków okresu międzywojennego, odnosząc sukcesy na scenach czołowych teatrów świata i w salach koncertowych.

Póki dawano cały gaz, fordzielec, chwiejąc się i stękając, posuwał się z wielkim trudem naprzód, po nierównym i błotnistym terenie. Niebawem atoli napotkano rów, napełniony grząskim błotem. Rozpędzony samochód przeskoczył go przednimi kołami, lecz tylne ugrzęzły głęboko. Chłopcy po nocy, podczas przymrozku, musieli opuścić wehikuł, powynosić wszystkie bagaże, ażeby mu ulżyć, a druh Jeliński, brodząc po kolana w błocie, używał wszelkich sposobów, żeby wydostać się z tej pułapki. Założono sznury na koła, ale i to nie pomogło.

Trzeba było podważać drągami auto. Po niewymownych wysiłkach, narażając się na oberwanie wału albo na uszkodzenia dyferencjału, w parę godzin zaledwie zdołano wybrnąć z przeklętego rowu. Przemoknięci, zmarznięci chłopcy weszli do auta, gdzie odbyli walną naradę.

Była już głęboka noc. Głód dokuczać zaczynał wszystkim niemiłosiernie, o spaniu w mokrej odzieży trudno było myśleć. Postanowiono, siedząc w aucie, doczekać dnia. Ale w ciszy nocnej doleciało ich uszu szczekanie psa, dowód, że gdzieś w pobliżu znajdowały się siedziby ludzkie. Uchwalono udać się we trzech dla nabycia czegoś ciepłego do zjedzenia i zaciągnięcia informacji, jak daleko do drogi bitej.

Wyprawa ta zupełnie się nie powiodła. Chłopi, którzy w tych stronach przeważnie trudnią się przemytnictwem, przyjęli naszych skautów bardzo kiepsko; nic się od nich nie udało uzyskać. Nie pozostawało nic innego, jak rejterować, nie chcąc narazić się na jaką grubą nieprzyjemność. Zdołano jednak dowiedzieć się od jakiejś dziewczyny, że do traktu jest tylko kilka kilometrów. Była to nie lada pociecha w trudnej sytuacji.

Nie mogąc i tak spać w mokrym obuwiu i odzieży, postanowiono wysłać przodem dwóch wywiadowców, dla zbadania możliwości przejazdu. Na czele szedł Smosarski i Brettschneider, za nimi, jako łącznik, kroczył Ł., zaś druh Jeliński na dany gwizdkiem sygnał podjeżdżał kawałek naprzód, aż do łącznika. W ten sposób posuwano się jakiś czas naprzód. Nie trwało to długo. Wszyscy trzej wywiadowcy zatrzymali się wobec nowej przeszkody. Droga ginęła w głębokiej kałuży, która daleko rozciągała się po lewej stronie, z prawej zaś przymykała do stromego wzgórza. Przekonano się, że głębokość wody dosięga metra.

Pagórka nie dało się w żaden sposób przebyć autem, nie pozostawało więc nic innego, jak zapuścić się w kałużę, z której jednak auto zapewne by nie wyjechało. Wyciągnawszy łopaty, zabrano się więc do pracy. Należało z ziemi, obciętej od stoku wzgórka, zrobić niewielką ławę dla jednego choćby koła. Auto niezawodnie by się przewróciło, gdyby nie znalazło jakiegoś oparcia dla lewych kół. Zaczęto się więc rozglądać dokoła i w mroku porannym z radością dostrzeżono w pobliżu wielki stóg siana. Tym cennym materiałem,

obficie zapuszczonym w kałużę i przysypanym ziemią, udało się podnieść na tyle poziom dna bajora, że samochód, choć mocno pochylony, posuwał się naprzód. Ma się rozumieć, że znowu trzeba było cały bagaż przenieść o kilkaset metrów naprzód, brodząc poza kolana w zimnej wodzie i w grząskim błocie. Ale świadomość, że o dwa kilometry dalej zaczyna się już poszukiwana szosa, dodawała wszystkim energii. Właściciel siana nie był zapewne zbyt wdzięczny za rozebranie i utopienie w kałuży dużego stogu, ale na wojnie jak na wojnie!

Towarzysze Jelińskiego, przeprawiwszy się pieszo, oczekiwali z biciem serca co nastąpi. Kiedy wreszcie rozpedzony samochód pełnym gazem, na łeb na szyję przeleciał przez zaimprovizowaną w wodzie groblę, odetchnięto całą pierśią. Kiedy się rozwidniło, wszyscy mogli sobie zdać sprawę, w jak wielkim niebezpieczeństwie znajdował się biedny fordzik. Dość było kilka cali w bok, a tak pięknie rozpoczęta podróż skończyłaby się niechlubnie w bajorach na granicy węgierskiej.

O brzasku dnia, nie życząc sobie spotkać się z właścicielem siana, wyprawa dotarła do upragnionej szosy. Czując pod kołami twardy grunt, odzyskano dobry humor. Niebawem znaleziono się na posterunku granicznym, gdzie wyrażono zdziwienie, że wyprawa obrała tak fatalną drogę. Okazało się, że żadne auto nie dokonało podobnego cudu. Istotnie fordzik wyglądał jak jedna wielka bryła błota.

Na posterunku węgierskim pozwolono naszym skautom osuszyć się i posilić gorącą strawą, której wszyscy byli niezmiernie spragnieni. Okazało się, że ten fatalny rajd nocny przez trzęsawiska pożarł z baku tyle benzyny, że starczyłoby jej na paręset kilometrów drogi po dobrej szosie.

Posuwano się szybko w kierunku Budapesztu, wzdłuż wspaniałego, szerokiego Dunaju wśród winnic, malowniczą, gęsto zadudnioną, urodzajną równiną węgierską. Przed samym Budapesztem znowu w nocy natrafiono na stromy kawałek szosy, w dodatku pokrytej śniegiem i bardzo śliskiej. Trzeba było wysiadać. Każdy wołał iść pieszo niż jechać autem, które ślizgało się i łatwo mogło się stoczyć po pochyłości.

Była to wielka próba dla druha Jelińskiego, na którego spadła cała odpowiedzialność za prowadzenie auta w tak ciężkich warunkach. Ta praktyka miało się przydać w przyszłości. Kierowca z zaciśniętymi wargami pełnił swój obowiązek; wszak gdzieś w Afryce, albo w Azji mogło być jeszcze gorzej.

Wjechano do stolicy węgierskiej nocą, podczas fatalnej pogody. Śnieg padał wielkimi płatami, było przenikliwie zimno. O tej porze niepodobna było niepokoić poselstwo polskie; zresztą nikogo by tam nie zastano. Zatrzymano się więc na placu publicznym. Niebawem zbliżyło się do auta dwóch policjantów, którzy dowiedziawszy się, z kim mają do czynienia,

zapropowowali członkom wyprawy gościnność na posterunku. Nie było to, jak ktoś niedomyślny mógłby przypuścić, aresztowanie ludzi bezdomnych. Po prostu posterunkowi chcieli wybawić z kłopotu naszych skautów; zaprowadzili ich do pokoju dyżurnych, tam pozwolili przenocować. Ma się rozumieć, że podróżni nie odrzucili tej okazji, która nęciła przespaniem się w ciepłej izbie, na względnie wygodnych łózkach..

Poczęstowano obecnych tam dyżurnych policjantów swymi zapasami. Węgrzy, chcąc się wywzajemnić, podali gorący gulasz, na który zdrożeni²⁶ i zziębnięci skauci rzucili się chciwie. Srodze jednak przyplacili tę pierwszą znajomość z kuchnią węgierską; panuje tam zwyczaj niemiłosiernie pieprzyć potrawy, zwłaszcza gulasz, który, tak jak u nas bigos, jest daniem narodowym. Do wszystkich niemal potraw dodają papryki. Nieprzyzwyczajonego pali to niemiłosiernie. A nasi skauci nie pijąc wina, którym ich częstowano, musieli gasić ogień wewnętrzny niezliczoną ilością szklanek zwyczajnej wody. Do wszystkiego jednak można przywyknąć. Pod koniec pobytu na Węgrzech Brettschneider jadał już czerwony pieprz turecki w occie, jakby nigdy nic.

Do Budapesztu dojechano akurat na same święta Bożego Narodzenia. Poseł polski, pan Michałowski, wyjechał; poruczono naszych harcerzy opiece sekretarza poselstwa. Za składkowe pieniądze wyprawiono sobie bardzo skromną ucztę wigilijną. Uroczystość ta minęła smutno i dość samotnie, gdyż prócz jednej z urzędniczek polskich w poselstwie i jej matki, która ofiarowała chłopcom gościnność, nikt nie brał udziału w wieczerzy wigilijnej.

Same święta spędzono na oglądaniu stolicy węgierskiej, która jest bardzo piękna. Niemało przyczynia się do tego jej malownicze położenie nad szerokim Dunajem, który nie tak, jak Wisła w Warszawie, płynie wśród wspaniałych bulwarów, przy których stoją najpiękniejsze gmachy stołeczne, imponujący parlament i wspaniały Pałac Sprawiedliwości. Inną osobliwość stanowi Wyspa Św. Małgorzaty w pośrodku rzeki, w samym mieście. Znajdują się tam liczne kawiarnie, restauracje, zakłady rozrywkowe. Ale najgodniejszymi uwagi są źródła gorące i komfortowe przy nich zakłady kąpielowe, gdzie ze skromną opłatą można użyć naturalnej, ciepłej wanny.

Zaraz po świętach wyprawa była przyjęta przez regenta – admirała Horthy'ego²⁷, na zamku królewskim, zbudowanym na wzniesieniu, które panuje nad Dunajem. Za przewrotu bolszewickiego pod wodzą Cohna, który jest znany pod nazwiskiem Bela Kun, zamek doznał okropnego zniszczenia, które dopiero w parę lat po tym zdołano naprawić. Stary portier

²⁶ Zdrożony – zmęczony drogą, podróżą.

²⁷ Miklós Horthy de Nagybánya (1868-1957) – węgierski admirał, regent (osoba sprawująca władzę w imieniu monarchy) państwa w latach 1920-1944. Przez przeciwników politycznych nazywany był ironicznie „admiralem bez floty w kraju bez morza”.

opowiadał, że cała zastawa dworska srebrna, na paręset osób, ocalała w tym rabunku dzięki temu, że była doskonale ukryta.

Admirał Horthy zrobił na naszych chłopcach bardzo dodatnie wrażenie. Czuć było instynktownie, że ten wilk morski ma nieugięta wolę, której nikt się oprzeć nie zdoła. Mówił powoli, wyraźnie, badając do głębi wzrokiem młodych cudzoziemców. Po audiencji wyraził chęć zobaczenia samochodu, na którym chłopcy wybrali się w tak daleką podróż.

Druh Jeliński, widząc, że Brettschneider szykuje się do filmowanie tej sceny, usiłował zainteresować czymś specjalnie admirała. Wpadł więc na pomysł, żeby mu pokazać karabin wciskowy wyrobu polskiego.. Admirał obejrzał go z wielkim zainteresowaniem, wyrażając zdziwienie, że Polska posiada już broń własnego wyrobu, a w dodatku tak precyzyjnie wykończoną. Radził wyprawie, żeby jak najprędzej starała się dostać w cieplejsze kraje, ostrzegając, że zima na Węgrzech jest dość surowa i może stanowić przeszkodę w dalszej podróży. Znać lekkie kostiumy naszych skautów, którzy nosili krótkie spodenki, obnażające kolana, skłoniły wielkorządcę do tej wskazówki.

Wizyty u skautów węgierskich, którzy tarczą noszą nazwą „czerkiesów”, zajęły naszym chłopcom dni następne. Przekonano się przy tej sposobności, że są oni daleko lepiej zorganizowani aniżeli Pfadfinderzy, czyli skauci austrijscy; mają ładniejsze lokale, prezentują się znacznie okazalej i lepiej pojmują zadania swojej organizacji.

Nie omieszkało także przedstawić się w Automobilklubie węgierskim, do którego należy przeważnie arystokracja tamtejsza. Spostrzeżono, że skromny fordzik wyprawy, na którym jednak zrobiono tyle już drogi, niezbyt imponuje węgierskim automobilistom. Traktowano go z tego powodu z chłodną rezerwą, niemniej przeto przyznano wyprawie odznakę klubową i zaopatrzone ją w listy polecające do automobilklubu w Jugosławii. Wizyta ta nie była zatem daremna.

Dokuczliwe zimno, zła pogoda, nieznajomość języka, którego nasi chłopcy nie rozumieli ani słowa. i inne względy nakazywały wyprawie jak najspieszniejsze opuszczenie Węgier. Po kilku dniach pobytu w stolicy ruszono znów w drogę, kierując się ku Jugosławii.

ROZDZIAŁ VII.
WRAŻENIA W JUGOSŁAWII. ZISZCZONA PRZEPOWIEDNIA.
ROMANTYCZNY WIECZÓR NA GRANICY WŁOSKIEJ.

Jak tylko przekroczone obecną granicą Jugosławii, natychmiast zmieniły się radykalnie wygląd i fizjognomia kraju. Zamiast sunąć po dobrze utrzymanych drogach węgierskich, fordzik zaczął pływać raczej, niż jechać, po bajorach. Dość powiedzieć, że na tzw. „traktach” często koła grzęzły po same osie w gęstym błocie.

Druh Jeliński musiał umocować z przodu auta na dwóch drążkach worek, ażeby uchronić chłodnicę od obicia tryskającego na nią błota, które zalepiało na grubość paru palców maskę, nie dopuszczając powietrza do wnętrza. Skutkiem tego wentylacja odbywała się nieprawidłowo i silnik zagrzewał się. Nie było to estetyczne urządzenie, ale niezbędne w tych warunkach.

Kultura materialna kraju spadła od razu o kilkanaście stopni. Ludność odziano ubogo, nieraz okryta tylko brudnymi płachtami, bosa, wszędzie brudno i niezmiernie pierwotnie. Wioski, chociaż dobrze zaludnione, składają się z nędznych domostw. Wszędzie obfitość cyganów, żebraków i różnych niepewnych elementów. Wieśniacy wyglądają bardzo nędznie; mają jakąś dziką fizjonomię, rzadko bowiem strzygą się i golą; słowem na każdym kroku widać ogromną różnicę w porównaniu choćby z polskimi stosunkami. Pomimo tego dzikiego wyglądu ludność jest uprzejma dla obcych i gotowa do usług, choć każe sobie za wszystko płacić.

Belgrad, stolica dawnej Serbii, a obecnie całej Jugosławii, leży nad Dunajem, ale po prawym jego brzegu. Ponieważ mostu na rzece nie było, więc musiano powierzyć auto wielkiemu promowi, a raczej tratwie, na której przeprowiono się do miasta.

Stolica zawiodła oczekiwania naszych podróżników. Ujrzano przed sobą miasto wprawdzie rozległe, ale bardzo lichy zabudowane. Ani śladu tych pięknych pałaców i kamienic, jakie widywano w Warszawie, nie mówiąc już o Wiedniu lub Budapeszcie. Ulice kiepsko brukowane. Jadąc z szybkością chociażby 15 km na godzinę można na pryncypalnych²⁸ ulicach stolicy pogubić koła i połamać resory.

Król Aleksander był w stolicy nieobecny, na audiencję nie można było zatem liczyć. Poseł Rzeczypospolitej Polskiej w Belgradzie, pan Okęcki, przyjął wyprawę z pewną rezerwą.

²⁸ Pryncypalny – główny.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w dwa lata po tym druh Jeliński, podróżując już bez towarzystwa dawnych kolegów, dotarł przez Wyspy Hawajskie do Tokio, stolicy Japonii, i tam znów spotkał się z panem Okackim, przeniesionym z Belgradu do krainy wschodzącego słońca. Wtedy pan Okacki, któremu zapewne zaimponował czyn naszego podróżnika, okazał się dlań znacznie uprzejmniejszy.

Na baczną uwagę zasługują skauci jugosłowiańscy, którzy się we wszystkim wzorują na naszych. Sprowadzają nasze podręczniki, przyjęli naszą organizację itd. Cieszą się wielką popularnością w swojej ojczyźnie i liczebnie się szybko rozwijają. Cechuje ich, w przeciwieństwie do Czechów, gościnność prawdziwie słowiańska, otwartość i uprzejmość. Pokazano naszym chłopcom miasto i radzono zwiedzić bardzo interesującą dzielnicą cygańską .

Specjalnie wydelegowany na przewodnika druh zjawił się na postoju, pozapinał starannie agrafkami kieszenie gości (ostrożność wśród cyganów niezbędna) i racząc ich po drodze rozmaitymi miejscowymi smakołykami, zaprowadził między obozowiska cygańskie. Było ich kilkadziesiąt. Koczowali tam wszyscy pod gołym niebem, obok swoich furgonów. Widząc gości, starali się ich zabawić na wszelkie sposoby. Dawali improwizowane przedstawienia kuglarskie i cyrkowe. Cyganki obstały młodych skautów, proponując im wrózenie z ręki. Druh Jeliński, uległszy namowom pewnej starej kobiety, wyciągnął ku niej lewą dłoń. Starucha przepowiedziała mu że czeka go wielka podróż, z której wróci cało i zdrowo. Dziwnym zbiegiem okoliczności, przed wyjazdem z Warszawy, druhowi Jelińskiemu pewna obdarzona sutą jałmużną cyganka, kiedy nikt jeszcze nie myślał o wyprawie samochodem naokoło świata, wywróżyła to samo, co jej rodaczka w Belgradzie i cała ta przepowiednia warszawska ziściła się prawie w całej swej rozciągłości.

Nazajutrz po wycieczce do cyganów nasi chłopcy ujrzeli na swojej masce wspaniałą, srebrną odznakę Automobilklubu Belgradzkiego. Była ona daleko ładniejsza od wszystkich przed tym i po tym otrzymanych, co jest w jaskrawej sprzeczności z jakością dróg w Jugosławii i co za tym idzie z rozwojem automobilizmu w tym kraju.

Zetknięto się także z rodakami, którzy w Belgradzie tworzą. wprawdzie niezbyt liczną, ale trzymającą się bardzo solidarnie organizację.

W stolicy nie zamierzano się dłużej zatrzymywać, gdyż nie przedstawiała ona nic godniejszego uwagi. Wyprawie pilno było do Włoch, skąd zamierzano przepłynąć się do Afryki. Wyruszywszy z Belgradu, kierowano się na zachód, przecinając krainy należące przed wojną światową do posiadłości austriackich. Fizjonomia tych krajów różni się wielce od

właściwej Serbii. Zaborcy, podobnie jak u nas Prusacy, pozostawili po sobie dużo kulturalnych urządzeń w postaci gmachów w czystych miastach, dróg bitych i żelaznych.

Mknąc równinami dawnej Sławonii²⁹, wyprawa zgubiła drogę, gdyż nie trzymała dokładnej marszruty w Belgradzie. W pewnej rozległej wiosce zatrzymano fordzika, i wysłane Brettschneidera i Ł. dla zaciągnięcia języka do najbliższej chaty.

Pozostali chłopcy marzli przez parę godzin, oczekując na towarzyszy i na prowianty, które polecili im zakupić na obiad. Od czasu do czasu trąbiono, jak tylko można było najgłośniej, ale nic nie pomagano; wysłańcy nie wracali. Z początku przypuszczano, że koledzy posilają się na miejscu, ale kiedy godziny zaczęły mijać, niepokój zanurtował w sercach pozostałych skautów.

Smosarski, który znalazłszy się w Jugosławii namiętnie zajadał różne pestki, sprzedawane tam na targach i miał ich zawsze, jak prawowity jarosz, pełne kieszenie, został w końcu wytracony ze swego filozoficznego spokoju.

– Kto wie, co ich tam mogło spotkać. Jesteśmy w kraju nie tak znowu pewnym.

Druh Jeliński na razie odrzucał pesymistyczne przypuszczenia, lecz kiedy minęła jedna i druga godzina na daremnym oczekiwaniu, uchwalono odszukać nieobecnych. Dla wszelkiej ostrożności pochowano do kieszeni nabite rewolwery i skradano się, jak przystało na skautów, do chaty, dając baczenie na wszystko.

Usłyszano głośne okrzyki, które na razie mocno zaniepokoiły jogą. Chciał się on już uzbroić w karabin i rozpocząć ostrzeliwanie podejrzanej chaty, gdy wtem drzwi jej rozwarły się i stanął na progu Brettschneider. Okazało się wprędce, że tonął on nie we własnej krwi, jak się obawiano, ale w potokach czerwonego wina, którym uraczono go nazbyt może obficie. Poza nim z tłumu podochoconych włościan wynurzyła się sylwetka druha Ł., który też miał, jak się to mówi, w czubie; niestety jednak wracał z pustymi rękami.

Natrafiono na chłopskie wesele i to było prawdziwą przyczyną długiej nieobecności wywiadowców. Gościnni gospodarze nie tylko dali żądane wskazówki co do drogi, ale nakarmili gości do syta. Nic jednak nie pozwolili nabyć za gotówkę. Joga i druh Jeliński musieli zadowolić się opowiadaniem o sutym przyjęciu, klnąc lekkomyślność towarzyszy. Znalezione w kieszeniach druha Smosarskiego pestki od dyni musiały zastąpić obiad.

Nazajutrz fordzik wjechał do kroackiego Zagrzebia, bardzo kulturalnego, czystego i ładnie zabudowanego miasta, które pozostawia daleko poza sobą stolicę obecnej Jugosławii. Jest to główny rynek handlowy i pieniężny całej Jugosławii. Skorzystano z gościnności

²⁹ Sławonia - historyczna kraina we wschodniej Chorwacji, położona w międzyrzeczu Sawy i Drawy.

konsulatu polskiego, gdzie otrzymano kwaterę i garaż dla auta. Stołowano się zaś w pewnej restauracji, prowadzonej przez byłego generała rosyjskiego, obecnie emigranta. W Jugosławii jest obecnie kilkanaście tysięcy Rosjan, korzystających z przytułku politycznego, którzy dla zdobycia sobie środków utrzymania oddają się różnym zawodom, przeważnie jednak prowadzą jadłodajnie w miejscowościach bardziej uczęszczanych przez turystów. Nie brak też byłych wojskowych, pełniących funkcje szoferów; słowem emigranci rosyjscy oczekując, aż minie reżim bolszewicki w ich ojczyźnie, radzą sobie jak mogą.

Otrzymałszy ostrzeżenie, że góry włoskie są bardzo strome i drogi w nich trudne, zaopatrzone się w nowe taśmy do hamulców, prócz tego zabrano komplet zapasowy. Oczyszczono też gruntownie fordzika, któremu dały się we znaki błotniste drogi Jugosławii.

Do pięknej krainy włoskiej wkraczano przez do niedawna austriacki Triest. Jadąc górkami drogami, opuszczano się na niziny. Pogoda zmieniła się szybko na lepsze. Jeszcze o kilkadziesiąt kilometrów od Triestu było zimno, ale tam w nizinach świeciło gorące słońce, i niebo stawało się coraz bardziej niebieskie..

Wieczorem, na samej granicy włoskiej, uszu podróżnych dobiegły słodkie dźwięki gitary i melodyjny głos jakiegoś Włocha, opiewającego piękno swojej ojczyzny. Zatrzymano się, słuchając tego niespodziewanego koncertu, rozlegającego się w ciszy wieczoru, wśród romantycznego górskiego pustkowi.

Granica leży tutaj na niskiej przełęcz górskiej, wijąc się kapryśnie między wyniosłościami. Z jednej strony stoi maleńki domek; jest to posterunek jugosłowiański. O kilkadziesiąt kroków dalej, w takim samym domku, samotnie rzuconym u stop skał stromych, urzęduje posterunek graniczny włoski. Podróżni słyszeli wiele o nieugiętości i samowoli faszystów; lękali się więc zetknięcia z nimi, tym bardziej, że byli zbyt dobrze uzbrojeni. Z pewną obawą zbliżano się więc do granicy. Wreszcie ujrano straż włoską, przybraną w granatowe napoleońskie kapelusze i białe szarfy na piersiach. Zamiast mundurów strażnicy mają coś podobnego do fraczka z długimi połami. Kostium ten wydał się naszym skautom nieco dziwnym. Usiłowali oni okazać się jak najuprzejmiejnymi względem przedstawicieli władz faszystowskich. Strażnicy, wyszedłszy ze swojego posterunku, oglądali uważnie auto, sprawdzali paszporty, świecąc w oczy latarkami podróżnym dla stwierdzenia ich podobieństwa z fotografiami na dokumentach.

Lecz nie taki straszny diabeł jak go malują. Załatwiwszy formalności paszportowe, bez żadnych trudności ruszono natychmiast dalej, ażeby jak najprędzej wydostać się z mrocznych, dzikich gór pogranicznych. Jednakże okazało się, że nocna jazda po krętych, stromych i niebezpiecznych drogach górskich nie należała do przyjemności. Lękając się jakiej przygody,

zatrzymano się przed samym Triestem w pewnej małej oberży, utrzymywanej przez Jugosłowianina.

Dowiedziawszy się, że podróżni są katolikami, potraktowano ich przyjaźnie. Rozgoszczono się w izbie. Gospodyni uraczyła naszych chłopców narodową potrawą włoską, to jest makaronem, ale zamiast masła, okraszonym oliwą nienajlepszego gatunku. Było to jedzenie niezbyt ponętne dla polskiego podniebienia, ale rzucono się na nie chciwie.

Kiedy, skończywszy posiłek, podróżni siedzieli przy butelce wina włoskiego, do oberży wtargnęło kilku bersalierów³⁰, o mocno zawadyjackich fizjognomiach. Zachowywali się oni bardzo wyzywająco, wyraźnie szukając zaczepki z naszymi chłopcami. Ci jednak, przestrzeżeni przez gospodynię, żeby wobec faszystowsko nastrojonych wojaków unikać wszelkich nieporozumień, zwłaszcza nie nazywać Mussoliniego po nazwisku, bez dodatku tytułu *duce*, co razi niemiłe jego zwolenników, trzymali się na uboczu. Zaprowadzono ich do maleńkich izdebek, gdzie mieli przenocować. Wszyscy rzucili się na łóżka jak kłody i w mgnieniu oka pozasypiali. Jeden tylko druh Jeliński, zaniepokojony „kichaniem” motoru podczas ostatniego kawałka drogi, poszedł zbadać, co się stało fordzikowi. Była to, jak się okazało, niezbędna wizyta. Rurka, doprowadzająca z baku benzynę do motoru, nadłamała się i mnóstwo benzyny wykapowało ze zbiornika na ziemię, tak iż nad ranem wyprawa na pewno znalazłaby się bez paliwa. Groził też pożar w razie najmniejszej nieostrożności. Druh Jeliński, zamiast więc używać zasłużonego wywczasu, musiał przez kilka godzin pracować nad zlutowaniem uszkodzonej rurki. Już o świcie auto było gotowe do dalszej drogi.

Tego samego dnia wjechano do Triestu, przebywszy kawał kapryśnej drogi górskiej, i zatrzymano się wprost przed konsulatem polskim. Zaraz na wstępie do krainy włoskiej natrafiono na niezmiernie przyjacielskie przyjęcie. Konsulem polskim w tym mieście jest pan W. Kwiatkowski, człowiek niepospolitej dobroci, cieszący się wielką popularnością, a nawet miłością nie tylko swych rodaków, ale i samych Włochów. Przyjął on z otwartymi rękami skautów, zdając sobie dokładnie sprawę z ich zadania. Uczynił wszystko co tylko mógł, żeby wieść o ekspedycji rozległa się jak najszerszym echem w mieście i w całym kraju. Zapoznał ich z najwybitniejszymi osobistościami miasta, wydelegował sekretarza konsulatu na przewodnika. W jego oświeconym towarzystwie chłopcy zwiedzili uniwersytet, godniejsze gmachy i port, który do niedawna jeszcze należał do Austrii.

Triest obecnie jest nie tylko narodowościowo, ale i politycznie miastem włoskim.

³⁰ Bersalierzy (wł. Bersaglieri) – formacja włoskiej lekkiej piechoty zmechanizowanej, której początki sięgają 1836 roku.

ROZDZIAŁ VIII.

TRIEST. TAJEMNICZA DRUŻYNA. W PODZIEMIACH KLASZTORU. W RZYMIE, AUDIENCJE U OJCA ŚWIĘTEGO I U MUSSOLINIEGO.

W Trieście chłopcy nasi po raz pierwszy ujrzeli błękitne tonie Adriatyku, w których przegląda się jak w zwierciadle malownicze miasto. Radzono im, żeby kiedy podczas jaśni księżycowej poznali piękno tego krajobrazu. Usłuchawszy tej wskazówki, skauci przechadzali się wzdłuż wielkiego kamiennego mola, o które ze słodkim szmerem rozbijały się fale morskie. Zauważono tam dziwną grupę: jakiś zakonnik prowadził drużynę złożoną z kilku młodych chłopców. Nasi podróżni spostrzegli niebawem, że są przedmiotem bacznej obserwacji z ich strony. Włosi złożyli im skautowskie powitanie. Tą samą grupę spotkano nazajutrz w starej dzielnicy miasta, wśród krętych uliczek, w pobliżu małego klasztoru.

Wkrótce jeden z chłopców zbliżył się do podróżników i łamaną francuszczyzną zapytał, czy są oni skautami katolickimi. Otrzymałszy twierdzącą odpowiedź, zaczęli się bardzo serdecznie witać. Włosi wiedzieli już z gazet o przybyciu naszych skautów do Triestu i pragnęli zaprosić ich do siebie. Podróżni chętnie się zgodzili; chłopiec ruszył naprzód, wskazując drogą gościom. Zamiast jednak zaprowadzić ich do jakiegoś lokalu drużynowego, błądził przez dłuższy czas po wąskich zaułkach, w końcu zatrzymał się u wrót małego cmentarza. Tutaj skauci zawahali się; wszystko to bowiem, nawet sam chłopiec, wydało im się na razie bardzo podejrzane.

Słyszeli, że we Włoszech można być zwabionym w jakąś pułapkę i obrabowanym. W dodatku zmrok zapadał. W końcu jednak zdecydowano się iść za małym Włochem, na którego twarzy malowało się żywe zadowolenie i pewne pomieszenie. Przyspieszając kroku, zatrzymał się wreszcie u ciasnego wejścia do krypty kościelnej, gdzie nagle zniknął bez śladu. Już chciano się cofnąć, gdy wtem ukazał się ten sam zakonnik, którego widziano wczoraj w towarzystwie chłopców na molo portowym. Wprowadził on przybyszów do podziemi klasztornych, gdzie zwykle chowano zmarłych zakonników. Ciała bez trumien leżały zasuszone rzędami pod murami krypty, wzdłuż której biegł korytarz. Było w nim dwoje drzwi, prowadzących do dwóch małych izdebek. W jednej z nich mieszkał sam padre – drużynowy skautów katolickich, w drugim zaś mieścił się lokal drużyny.

Posadzono gości na dębowych ławach i rozpoczęła się interesująca pogawędka. Okazało się bowiem, że padre mówi dobrze po niemiecku, którym to językiem władało paru z naszych druhów. Padre w wielkiej tajemnicy zwierzył się gościom z kłopotów, jakie ma

skauting katolicki we Włoszech. Najlicniejsza organizacja młodzieży tamtejszej nosi nazwą „Balila”. Prócz niej istnieją nieliczne drużyny skautowskie, które zmuszone są iść z nią ręką w rękę. Balila nosi charakter bardziej militarystyczny i polityczny aniżeli sportowy. Znajduje ona pod opieką duce Mussoliniego; posiada instruktorów spośród oficerów armii czynnej i jest wychowywana w duchu faszystowskim. Za umundurowanie służą tam krótkie spodenki, czarne koszule i czapeczki z czarnymi pomponikami. Z szeregów Balili rekrutują się młodzi faszyci.

Nie wszyscy jednak rodzice chcą oddawać swoich synów do Balili. Założono więc organizację skautów katolickich, znajdującą się pod protektoratem Ojca Świętego. Prócz tego istnieje niewielka organizacja skautów międzynarodowych, która jednak pozostaje w cieniu, nie chcąc rywalizować z Balilą. Skauci katoliccy ulegają silnemu naciskowi, mającemu za cel wcielenie ich do Balili. Muszą więc pracować w ukryciu, ażeby nie narażać się wszechmocnej organizacji faszystowskiej.

Podczas pogawędki do podziemi wciskali się coraz to nowi skauci, którzy, jak się niebawem wyjaśniło, byli rozesłani po całym mieście przez padrę drużynowego dla odszukania polskich skautów .

Zakonnik informował się z wielkim zainteresowaniem o ruchu skautowskim w Polsce, o której dużo wiedział. Celem jego było zbliżenie organizacji skautów włoskich katolickich do naszych skautów. Młodzi Włosi z oczyma wlepionymi w gości słuchali objaśnień drużynowego, który im tłumaczył ważniejsze urywki rozmowy z Polakami. Cieszyli się oni, że nie przyjaźni, która bierze swój początek nad Wisłą, osnuje całą kulę ziemską, nie pomijając ich ojczyzny. Wypito czerwonym winem (bo tamtejsi skauci nie uważają go za napój alkoholowy) braterstwo z młodymi Włochami i wymieniono liczne fotografie.

Na pożegnacie padre prosił, żeby nasi skauci odwiedzili w Rzymie skautów katolickich, po czym kazał dwóm chłopcom odprowadzić gości do ich kwatery. Owa wizyta w tak romantycznych warunkach zrobiła na podróżnikach silne wrażenie i utkwiała im na długo w pamięci.

Pan konsul generalny Kwiatkowski dał wyprawie cenne wskazówki, dotyczące zwiedzania Włoch; wykreślił taką marszrutę, żeby mogła odwiedzić wszystkie placówki polskie. Radził gorąco przede wszystkim obejrzeć perłę Adriatyku, słynną Wenecję, miasto cudowne, nie mające sobie równego na całym świecie.

Ruszono więc przez nizinę, rozciągającą się u północnych wybrzeży Adriatyku, i porzniętą licznymi kanałami. Niebawem przejechano słynną rzekę Piave³¹, nad którą Włosi podczas wielkiej wojny odnieśli decydujące zwycięstwo nad Austriakami, i zatrzymano się o kilka kilometrów od laguny, gdyż do samego miasta nie można dojechać autem.

Pozostawieni je w garażu, po czym zajęto miejsca w pociągu, który przez wspaniałą, długą groblę dociera do Wenecji. Podróżnemu zdaje się, że pociąg płynie po morzu, gdyż grobla jest bardzo wąska. Była godzina wczesna. Duże miasto spało jeszcze z wyjątkiem biedaków, spieszących do pracy. Wlekli się oni chodnikami wzdłuż kanałów, przecinających we wszystkich kierunkach Wenecję, zatrzymywali się po drodze przed nędznymi kramikami, gdzie przekupki sprzedawały różne miejscowe przysmaki, jak np. pieczone kasztany, gotowaną dynię, *frutti di mare*, czyli drobne żyjątka morskie ugotowane w zupie. Robotnik kupował za kilka groszy tego nędznego posiłku, zapijał go z manierki paroma łykami wina czerwonego i szedł dalej, zadowolony, że czymś zapchał pusty żołądek. Pierwsze wrażenie, jakie odnieśli nasi chłopcy w tym sławnym z piękności mieście, nie było zbyt dodatnie. Nic dziwnego. Wchodzono wcześniej i że się tak wyrażę, kuchennymi schodami. Z okna pałaców marmurowych służba wprost do kanałów wysypywała śmiecie; brudna bielizna, albo też świeżo wyprana, suszyła się na sznurach, rozwieszonych w poprzek wąskich uliczek, tworząc bardzo oryginalną, choć mało estetyczną dekoracją domów. Szczury, w poszukiwaniu żeru, spacerowały licznie po chodnikach, nie lękając się zbytnio kotów, których też nie brakowało. W kanalikach, opłukujących stopy wysokich kamienic, woda zielonawa od pleśni, zionęła niezbyt przyjemnymi woniami.

Błądzono na chybił trafił cichymi chodnikami, wzdłuż kanałów, nie pytając nikogo o drogę. Cisza głęboka wszędzie, miejscami tylko gondolierzy chrapliwym od niewyspania głosem zapraszali przechodnia do zajęcia miejsca w łodzi: "Gondola, signore, gondola!". Nasi chłopcy, chcąc użyć tej oryginalnej jazdy, odmówili sobie rannego śniadania i za lira przejechali kawałek drogi. Wysiedli na wybrzeżu Wielkiego Kanału, który, niby szeroka ulica, ciągnął swą szmaragdową wstęgę wzdłuż długiego rzędu wspaniałych pałaców. Niegdyś należały one do patrycjuszów³² weneckich; dziś przeważnie zaniedbane, służą za mieszkania prywatne lub za kantory biur handlowych. Mała ich liczba zachowała pierwotną świetność.

Minąwszy wspaniały kościół marmurowy, della Salute, postawiony jak większość

³¹ Piawa - rzeka w północno-wschodnich Włoszech o długości 220 km. 15 czerwca 1918 r. Austriacy rozpoczęli bitwę nad Piawą, zakończoną ich klęską 10 dni później.

³² Patrycjusze – uprzywilejowana, wyższa warstwa społeczna, która pojawiła się w okresie republiki w starożytnym Rzymie.

gmachów weneckich na palach dębowych głęboko wbitych w dno morskie, zwrócono na lewo i niebawem dostano się do najpiękniejszej części miasta. Przed oczyma naszych skautów w całym swym majestacie widniał w płomieniach wschodzącego słońca sławny pałac dożów, obszerny Plac Świętego Marka, z podcieniami, wzdłuż których pełno bogatych sklepów, gdzie sprzedają produkty przemysłu weneckiego: szkła przepiękne, rzeźby marmurowe, wykonane przez niepoślednich artystów i mnóstwo innych rzeczy, przyciągających wzrok turysty, i wypróżniających mu kieszenie.

Podróżni, nie mając dużo czasu, musieli w ciągu jednego dnia zwiedzić cudne miasto. Spieszyli się do Mediolanu, gdzie mieli obiecany wstęp do sławnego teatru la Scala.

Przede wszystkim kazano się wyciągnąć na wieżę, która po zawaleniu się starej jest odbudowywana. Z jej galerii rozciąga się niezapomniany widok na laguny, na wyspy, na całe miasto, które wydaje się stąd jednym zbiorowiskiem czerwonych dachów. Przebiegano szybko obszerne i liczne sale Pałacu Dożów, odmówiono poranne pacierze w mrocznych nawach bazyliki, po czym znużeni skauci siedli na brzegu morskim, przypatrując się statkom, wchodzącym i wychodzącym z portu.

Te wszystkie piękne widoki, cała słodycz pobytu w „Jedynym” mieście zamieniła się na kielich gorycz z powodu niewłaściwego zachowania się druha Ł., który ciągle brylował swoimi orderami; przy lada okazji opowiadał o strasznych przygodach, jakie spotkały wyprawę, blagując niemiłosiernie. Jego zaś towarzysze zapytani, czy istotnie tak się rzecz miała, musieli z wielkim wstydem zaprzeczać druhowi Ł. Z tego źródła płynęły ciągle niesnaski, które zatruwały przyjemną skądinąd podróż i wносиły rozdzwięk między członków wyprawy.

Ł. umiał także siać niezgodę między kolegami, podszczuwając w skrytości jednego przeciw drugiemu szeregiem kłamstw i intryg. Czekano więc niecierpliwie na jaką okazję, która by położyła kres tym występom druha Ł., nie licującym z mundurem skauta.

Wieczorem nasi chłopcy, znużeni zwiedzaniem miasta, znów siedli do wagonu, ażeby wrócić do opuszczonego na cały dzień fordzika.

Była to krótka wprawdzie, ale jedyna podróż koleją w ciągu całego rajdu naokoło świata druha Jelińskiego, który poza autem posługiwał się tylko okrętem w przeprawach przez oceany. Przespawszy się, chłopcy rankiem wyruszyli w kierunku Mediolanu, gdzie uprzedzony zawczasu przez generalnego konsula pana Kwiatkowskiego tamtejszy konsul polski, pan Marski, oczekiwał na wyprawę w swoim mieszkaniu prywatnym. Kazał naszym podróżnikom przede wszystkim umyć się, po tym najeść przy wspólnym stole, wreszcie wyspać, a wręczając im po wieczery korespondencję i przekazy pieniężne – rzekł:

– No, teraz dobranoc, chłopcy, a jutro, jeśli będziecie grzeczni, to was zaprowadzę do najsławniejszej opery na świecie.

Nazajutrz auto zrobiło wielką sensację w mieście; gromadzono się koło niego tłumnie, ażeby obejrzeć polskich skautów, którzy już przejechali przez tyle krajów. Dało to okazję do popisów druhowi Ł., a jego kolegom nowy powód do zwykłych zmartwień. Wzięto się więc na sposób. Nigdy nie pozostawiono druha Ł. samego, lecz zawsze dodawano mu opiekuna, który miarkował jego zapędy i prostował jego nieprawdopodobne opowieści.

Największe wrażenie zrobiła na naszych podróżnikach precudna marmurowa katedra, w stylu gotyckim zbudowana. Jest to istne arcydzieło sztuki architektonicznej. Setki smukłych wieżyczek i posągów świętych tworzą jakby subtelną koronkę, wśród której tkwi potężny kadłub świątyni.

Dzięki panu konsulowi Marskiemu nasi chłopcy zetknęli się z małą, ale niezmiernie sympatyczną kolonią młodych artystów polskich, którzy tu się zjechali dla odbywania studiów przy operze i pobierania lekcji śpiewu od tamtejszych mistrzów. W ich przyjemnym towarzystwie zjedzono obiad w pierwszorzędnej restauracji na placu katedralnym, podziwiając z okien piękno sławnego kościoła.

W operze dawano Carmen, której wysłuchano z namaszczeniem. Nie omieszkało nazajutrz zwiedzić słynnego cmentarza mediolańskiego, przepelnionego artystycznie wykonanymi z kanaryjskiego marmuru nagrobkami. Jest to jakby wielkie muzeum rzeźby. Jeden tylko cmentarz w Genui może rywalizować co do piękności z Campo Santo mediolańskim.

Nie będąc turystami, lecz podróżnikami, nasi skauci mogli poświęcić nie więcej nad jeden dzień na oglądanie starego Mediolanu. Musieli oni przemierzyć w swym aucie cały półwysep Apeniński, z północy na południe, obierając sobie z dwóch dróg zachodnią, ciągnącą się wybrzeżami morza Śródziemnego, podczas gdy wschodnia biegnie nad Adriatykiem.

Wyjechawszy w południe, tego samego dnia jeszcze nasi skauci dotarli do Turynu, gdzie pragnęli przede wszystkim zwiedzić słynną fabrykę samochodów Fiat, które w całym świecie cieszą się dobrą opinią. Pokazawszy naszym chłopcom wewnętrzne urządzenia zaprowadzono ich na tor próbny, bardzo oryginalny, gdyż zamiast na ziemi, jest on zbudowany na dachach zabudowań fabrycznych. W ten sposób zaoszczędzono kosztownego placu. Za materiał posłużyło tu żelazo i cement. Tor jest tak obszerny, że kilka aut może się na nim wyminąć z łatwością. Próbuje się tu maszyny wypuszczone z fabryki.

Za rządów duce Mussoliniego przemysł włoski i rolnictwo rozwijają się w nader szybkim tempie i kraj dochodzi do dużego dobrobytu. Wszyscy prawie mają pracę i nastął okres pokoju społecznego.

Dalsza marszruta prowadziła przez Genuę, Florencję na Rzym, stamtąd przez Neapol na sam kraniec apenińskiego buta, do Sycylii.

Naszym podróżnym pilno było, wobec zimy, dostać się do cieplejszych okolic. Teraz już zakosztowali słońca i nie narzekali na chłód. Co dzień zrzucano jakąś zbyt gorącą część odzieży.

Genua leży już właściwie na Rivierze włoskiej. Jest to miasto portowe, amfiteatralnie zbudowane na wzgórzach panujących nad zatoką. Odczuwa się tu już południe. Smukłe cyprysy strzelają w górę przy drogach i w ogrodach pospołu z piniami, przypominającymi nasze sosny, i szarymi, niepozornymi oliwkami. Kwiaty, głębokie ultramarynowe niebo, krajobraz całkiem odmienny od północnego. Na zachód od Genui ciągnie się już tak opiewana z piękności i łagodnego klimatu Riviera, aż po Marsylię.

Cały dzień nasi skauci snuli się wąskimi, krętymi uliczkami tego iście wschodniego miasta, poświęcili parę godzin na obejrzenie sławnego Campo Santo, dokąd się jedzie wspinając nadmorską drogą. Przenocowawszy na biwaku, puścili się szosą na południe, poprzez góry do Florencji.

Drogi automobilowe we Włoszech należą do najbardziej niebezpiecznych w całym ucywilizowanym świecie. Rzadko można spotkać automobilistę, który by bez wypadku przejechał cały ten kraj i Sycylię; pełno tam bowiem przepaści, nad którymi w licznych wirażach, przy trudnych do wzięcia spadzistościach wije się kapryśnie szosa, tworząc liczne serpentyny. Jest to doskonała szkoła dla każdego sportowca. Druh Jeliński sam o sobie powiada, że tam dopiero nauczył się pokonywać największe trudności, z jakimi walczyć musi każdy automobilista, chcący wyrzeć na szerszy świat. Amerykańscy sportowcy, widząc odznaki włoskie na aucie, traktowali już bardzo poważnie jego właściciela, uważając go za doświadczonego kolegę i chętnie zasięgali u niego rady w trudniejszych wypadkach.

Poświęciwszy nieco drogiego czasu na obejrzenie najbogatszych w arcydzieła sztuki muzeów florenckich, szybko zbliżano się do dawnej stolicy świata.

Dzięki protekcji poselstwa polskiego wyprawa znalazła gościnę w polskim Hospicjum, starożytnej fundacji, która pamięta jeszcze czasy niepodległej Polski. Polacy, zagnani do Wiecznego Miasta, znajdują tutaj za niską opłatą mieszkanie i utrzymanie. Siostra Maria Waszkiewiczówna, przełożona Hospicjum Św. Stanisława, zaopiekowała się naszymi chłopcami jakby rodzona matka. Sprawiało jej wielką przyjemność, jeżeli któryś ze skautów

był obecny wraz z nią na codziennym rannym nabożeństwie i klęczał obok niej. Ustanowiono więc w tym celu kolejne dyżury.

Posel polski, pan Roman Knoll, chcąc uprzyjemnić pobyt skautom, urządził dla nich w swej prywatnej rezydencji tańczącą herbatkę, na którą zaprosił wybitniejsze osobistości z kolonii polskiej i przedstawicielei towarzystwa rzymskiego. Przybyło wiele przystojnych rzymianek, z którymi nasi chłopcy zawzięcie tańczyli.

Między innymi druh Jeliński poznał tutaj znanego i utalentowanego malarza, pana Mazurowskiego³³, który specjalnie polubił jego towarzystwo i prowadził go do godnych widzenia miejsc, a że znał Rzym lepiej od niejednego miejscowego Włocha, więc był nieocenionym przewodnikiem dla druha Jelińskiego. Dzięki temu wyjątkowemu przewodnikowi poznał on Forum Romanum, katakumby, Bazylikę św. Piotra, Palatyn, Kolosseum i inne osobliwości starożytnego miasta.

Pan Mazurowski ze zdziwieniem dowiedział się, że wyprawa przejechała bez wypadku niebezpieczne drogi górskie. Dla upamiętnienia tego czynu namalował dla pana Jelińskiego piękną akwarelę, wyobrażającą auto nad okropną przepaścią, a obok archanioła, czuwającego z rozpostartymi skrzydłami nad podróżnymi.

Reprodukcję tego obrazu znajdzie czytelnik na okładce niniejszej książki.

Wyprawa niecierpliwie oczekiwała na wyrobioną jej przez poselstwo audiencję w Watykanie u Ojca Świętego. Upłynęło jednak kilka dni, zanim to marzenie każdego dobrego katolika wcieliło się w rzeczywistość. Przez ten czas stołowano się w Hospicjum we trzech jednak, gdyż druh Ł., dowiedziawszy się, że przyjechał tam i zatrzymał się na dłużej kapitan sztabu generalnego z Warszawy, pan Klotz, stracił nagle apetyt i nie zjawiał się przy stole.

Przychodził jednak późnym wieczorem i jadał sam. Pewnego razu, wróciwszy, jak sądził, już dobrze po wieczery, ku wielkiemu swemu zdziwieniu zastał całe towarzystwo. Kapitan Klotz, spotkawszy druha parokrotnie na mieście, zainteresowany był mocno tą osobistością, która pomimo młodego wieku posiada tak liczne i wysokie odznaczenia wojskowe. Chciał się z nią koniecznie zapoznać. Skoro więc druh Ł. ukazał się na sali jadalnej, kapitan Klotz i wszyscy obecni zwrócili nań uwagę.

Kapitan Klotz prosił druha Ł., żeby ten siadł obok niego i zaczął go głośno rozpytywać, kiedy i za co otrzymał ordery, zdobiące jego piersi. Biedny druh Ł. z początku udawał, że nie słyszy, ale uparty kapitan powtarzał niedyskretnie pytania, domagając się jasnych odpowiedzi. Niestety druh Ł. nie potrafił ich udzielić nelitościwemu kapitanowi. Przez ten

³³ Wiktor Mazurowski (1859-1944) – polski malarz batalista, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej.

czas jego koledzy siedzieli jak na rozżarzonych węglach.

Po wieczerzy kapitan oddalił się na stronę z druhem Ł. i kategorycznie zażądał odeń zdjęcia przywłaszczonych sobie orderów. O incydencie tym dowiedziało się poselstwo, które zażądało od naszych skautów wyjaśnień. Kiedy sprawę przedstawiono we właściwym świetle, w konsulacie sporządzono protokół, dzięki któremu wyprawa uwolniła się od niepożądanego towarzystwa druha Ł., chorego na megalomanię.

Nareszcie zakomunikowano wyprawie, że może przedstawić się Ojcu Świętemu. Poprowadzono ją, prócz ewangelika Brettschneidera, do Watykanu, gdzie w jednej z komnat przylegających do sali przyjęć ogólnych oczekiwał na nich adiutant gwardii papieskiej. Niebawem ukazał się sam Pius XI, poprzedzany licznym orszakiem. Dowiedziawszy się, kim są nasi chłopcy, z uśmiechem życzył im szczęśliwej podróży, obdarzył fotografią z własnoręcznym podpisem i błogosławieństwem.

Cała audyencja odbyła się bardzo ceremonialnie. Nasi skauci przyklękli na jedno kolano, kiedy do nich przemawiał Ojciec Święty, który przy pożegnaniu dał im do pocałowania pierścien na swym ręku. Musiał się on spieszyć, gdyż w sąsiednich salach oczekiwały inne specjalne audyencje, w których brało nieraz udział kilkadziesiąt osób.

Nasi skauci byli olśnieni powagą i majestatem tego posłuchania. Byli też dumni z tego, że otrzymali portrety Ojca Świętego, jest to bowiem zaszczyt, którego nie każdy dostępuje.

Tegoż dnia wyprawa otrzymała audyencję u il duce Mussoliniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Przed oblicze tego wyjątkowego człowieka, który dziś na czele swej partii sprawuje faktycznie władzę we Włoszech, wprowadził naszych podróżników radca poselstwa polskiego pan Guenther.

Na przeciwległym końcu wielkiej Sali, w samym rogu, stałe nieduże biurko wodza narodu. Nauczono ich, żeby w odpowiedzi na powitanie wodza złożyli ukłon starorzymski przez podniesienie ręki w górę. Kiedy nasi skauci zbliżyli się, il duce Mussolini powstał od biurka, przy którym pracował, i po przedstawieniu sobie wyprawy zaczął zadawać jej pytania: co widzieli w Rzymie, jaką drogą wjechali, dokąd zamierzają się stąd udać itd.

Pan Brettschneider, nauczony się kilku zdań po włosku, nie omieszkął się nimi popisać przed wodzem, który poklepał go łaskawie po ramieniu i spojrzął mu w oczy. Nastąpiło zdjęcie pamiątkowej grupy przez nadwornego fotografa, przy czym il duce stał na przedzie, przed nisko umieszczonym obiektywem. Raczył on wpisać się do pamiątkowej księgi wyprawy.

Nazajutrz ukazała się w dziennikach reprodukcja tego zdjęcia z licznymi i bardzo

pochlebnymi dla wyprawy artykułami, dzięki którym nasi chłopcy od razu stali się popularnymi w całym Włoszech. Przez kilka dni mówiono o Polsce, z czego najbardziej może się cieszyli.

Audiencje odniosły między innymi i ten pożądaný skutek, że Automobilklub włoski udzielił wyprawie swej odznaki, którą umieszczono wraz z dawniej otrzymanymi na masce samochodu, a także dokładnych map na niebezpieczne drogi południowych Włoch i Sycylii, które później oddały wielkie usługi.

Na samym wyjeździe z Rzymu druh Jeliński „na wszelki przypadek” zajrzał na pocztę, w nadziei, że otrzyma z Warszawy gazety i jakże się zdziwił, gdy wręczono mu list w różowej pachnącej kopercie, na której widział stempel miasta Lwowa. Kiedy ją rozdarł, ze środka wyleciał mały, sztywny bilecik, na którym równym pismem jakaś kobieca ręka skreśliła następujące słowa:

Przedsiębiorczemu druhowi, który ma nieść wysoko sztandar harcerstwa polskiego poprzez szeroki świat i rozgłaszać w dalekich krainach chwałę imienia polskiego, śle słowa zachęty i wytrwania.

Iza W.

Krótki ten liścik, dowód pamięci z dalekiego Lwowa, podziałał jak balsam na duszę naszego podróżnika. Od ręki napisał pocztówkę do panny Izy z prośbą o taki sam liścik od czasu do czasu. Miało to być skuteczne lekarstwo na straszną chorobę, która chwyta w swoje szpony prędzej czy później każdego Polaka na obrzyźnie, której na imię Nostalgia – tęsknota za Ojczyzną.

ROZDZIAŁ IX.

PRZEZ NEAPOL DO SYCYLII. ROZBIEGANY SAMOCHÓD.

Od wyjazdu z Rzymu piękna harmonia zapanowała między członkami wyprawy. Cieszono się, że nieporozumienia koleżeńskie z druhem Ł. raz na zawsze się skończyły i że dobra opinia naszych skautów, dzięki interwencji poselstwa, nie będzie w dalszym ciągu podróży narażana na szwank.

Innymi oczami pozostali chłopcy patrzyli na świat. Niebo wydawało się im głębszym i bardziej szafirowym, zieleń soczystszą, góry piękniejszymi, słowem wewnętrzny nastrój kładł piętno wesela i zadowolenia na całe otoczenie. Z tego nauka, że w podróż, jak na wojnę, trzeba się wybierać w zharmonizowanej i dokładnie poznanej kompanii; inaczej przedsięwzięcie tego rodzaju bywa wystawione na ciężką próbę.

Z pomiędzy rozmaitych ekspedycji, które wyruszały z Polski lub z innych krajów, zgoła żadna nie dotarła do wytkniętego celu. Ten los spotkał cyklistów, z którymi zetknięto się w Rzymie, piechurów, byłych wojskowych, motocyklistów, nie mówiąc już o różnych cudzoziemcach.

Jedna tylko wyprawa druha Jelińskiego wypełniła całkowicie postawione sobie zadanie opasania flagą polską kuli ziemskiej i w niczym nie naraziła dobrej opinii narodu swego wśród cudzoziemców. I to należy grubo podkreślić.

Wyruszywszy w doskonałych humorach z Rzymu, posuwano się wzdłuż wybrzeża morskiego malowniczą szosą. Najbliższą stacją był Neapol, odległy o jakieś 150 kilometrów od Wiecznego Miasta. Pierwotnie zamierzano wsiąść w tym porcie na okręt i przepłynąć do Afryki, ale zażądano za to tak wysokiej sumy, że przekraczała ona znacznie środki wyprawy. Postanowiono tedy jak najskuteczniej wykorzystać auto, to znaczy dotrzeć do Cieśniny Messyńskiej wzdłuż półwyspu, przepłynąć przez nią do Messyny, przejechać całą wyspę Sycylię i na krańcowym jej porcie dopiero załadować auto na okręt. Rada ta, jak się okazało w następstwie, była podwójnie dobra, raz dlatego, że zaoszczędzono znacznych kosztów, po drugie, że poznano niezmiernie ciekawe kraje.

Neapol, położony nad podobno najpiękniejszą na świecie zatoką, jest miastem noszącym charakter południowy. Wąskie kręte uliczki, na których w dzień pracują pod gołym niebem rzemieślnicy, krzykliwość i żywy temperament jego mieszkańców przemawiają do turysty nie znanym mu dotąd czarem.

Wezuwiusz, z którego niby olbrzymie drzewo wznosi się w górę na parę kilometrów

ciemny pióropusz. dymu, dodaje uroku temu wspaniałemu krajobrazowi. Od północy przylądek Posillipo, usiany wspaniałymi willami, zamyka widnokrąg. Od południa lśnią w słońcu niezliczone miasteczka i wioski rozłożone nad brzegami zatoki, między nimi odkopane po katastrofie Herculanium i Pompeja. Szeroki kamienny bulwar, wzmocniony nagromadzonymi wzdłuż niego tamami z narzuconych bezładnie jeden na drugim głązów i zieleniejący palmami wzdłuż niego park jest wielce uczęszczanym przez neapolitańczyków miejscem, gdzie w każde popołudnie odbywa się corso³⁴.

Miasto jest zbudowane amfiteatralnie na wzgórzach., obejmujących ramionami błękitną zatokę. zamknięta od zachodu sylwetką sławnej Caprery³⁵, gdzie znajduje się podziwiana przez wszystkich turystów Grota Lazurowa.

Żaden opis nie zdoła dać wyobrażenia o czystości, kolorycie i głębi wód morskich, oświeconych od dołu jakby wielkim oknem, znajdującym się pod poziomem morza. Gra światła na ścianach pieczary tworzy czarodziejski koncert barw, wśród których przeważa najczystszy odcień szlachetnego szafiru. Z trudnością, z powodu wielkiej fali, zdołano wsiąść ze statku do łódek. Jeszcze większym niebezpieczeństwem był połączony wjazd do groty przez niskie wejście, zalewane co chwila przez nadbiegające bałwany. Przewodnicy musieli korzystać z krótkiej przerwy między jednym a drugim, żeby szybko prześliznąć się przez otwór. Chwila opóźnieni, a wątpła łódeczka byłaby zgnieciona o sklepienie korytarza wraz z siedzącymi w niej turystami. Pobyt w czarodziejskiej grocie, która nie ma sobie nic równego na całym świecie, okupia jednak sownie ten strach. Inną osobliwością Neapolu jest akwarium morskie, zbudowane w parku Wiktorii nad samym brzegiem zatoki. Można tam przypatrzeć się do woli przebogatej florze i faunie Zatoki Neapolitańskiej, śledzić życie różnych ciekawych tworów poprzez olbrzymie szyby, poza którymi sztucznie odtworzono dno morskie ze wszelkimi szczegółami.

Ale kto ma przed sobą podróż naokoło świata, ten nie może nawet dla Neapolu poświęcić zbyt wiele czasu. Wyprawa po paru dniach puściła się wzdłuż wybrzeży zatoki i tutaj, w pobliżu Wezuwiusza, wśród ostrej woni oparów siarkowych, które rozchodzą się daleko wokół wulkanu, fordzik po raz pierwszy doznał uszkodzenia. Na popsutej i wąskiej drodze chciano wyminąć wielką, dwukołową arbę³⁶, zaprzężoną w muły. Niezgrabny woźnica zawadził o tylny lewy błotnik i omal go nie oberwał. Było to pierwsze okaleczenie fordzielca, który szczęśliwie przebył dotąd kilkanaście tysięcy kilometrów.

³⁴ Corso – reprezentacyjna szeroka aleja. Tu prawdopodobnie w znaczeniu: spacer.

³⁵ Błąd. Chodzi o wyspę Capri. Caprera jest wyspą u wybrzeży Sardynii.

³⁶ Arba – dwukołowy wózek używany w krajach południowych.

Winowajca, nie ścigany zresztą, podciął muły i uciekł, pozostawiając wielce strapionego tą przygodą druha Jelińskiego.

Droga wzdłuż zatoki, na „podbiciu” wielkiego buta apenińskiego, jest pełna malowniczych zakątków.

Po paru dniach przyjemnej podróży przeprowiono się na wielkim promie parowym przez Cieśninę Messyńską i znaleziono się na obszernej Sycylii, uwieńczonej innym wielkim wulkanem, Etną, której śniegiem przyprószony wierzchołek, podobny do obłoku, majaczył w północnej stronie widnokregu.

Messyna, kilkanaście lat temu nawiedzona okropnym trzęsieniem ziemi³⁷, jest już odbudowana. Posiada ona wielki i piękny bulwar nadmorski. Stąd do Palermo prowadzi ostro pod górę pełna wirazów i niebezpiecznych miejsc szosa. Obok niej znajduje się największy we Włoszech tor wyścigowy dla samochodów, gdzie corocznie odbywają się konkursy międzynarodowe. Przejechano po nim dla ciekawości kilka kilometrów, ale opuszczono go bez żalu, gdyż różne podejrzane odgłosy w silniku ostrzegały, że należy jechać ostrożnie i nie nazbyt szybko.

Najlepiej spośród wszystkich uczestników podróży czuł się na Sycylii nasz joga Smosarski. Z lubością spoglądał na obszerne gaje pomarańczowe, pełne dojrzewających owoców, sławnych na całą Europę ze swej wielkości, słodczy i aromatu. Kupiono kilkanaście sztuk od pewnej przystojnej Włoszki i zaczęto je obierać na sposób warszawski, co wywołało śmiech przekupki. Wzięła ona wielki owoc, zrobiła w nim dziurę kawałkiem drzewa, ugniotła w rękę, wyssała sok, a resztę rzuciła na ziemię.

Pomarańcze we Włoszech, zwłaszcza na Sycylii, są niezmiernie tanie, toteż nikt sobie z nich nic nie robi. Odtąd nasi chłopcy postępowali według otrzymanej wskazówki. Joga Smosarski zajadał się tymi smaczными owocami, mając czas jakiś w pogardzie inne środki żywnościowe.

Wszędzie widziano jak wieśniacy zrywali z drzew dojrzałe owoce, kładli w kosze i nosili do szop, gdzie pakowano je w skrzynki i wysyłano na wszystkie strony świata.

Druh Jeliński z niepokojem śledził mapy, na których było mnóstwo pętlic wirazowych. Ciężka przeprawa czekała fordzika.

Zbliżał się wieczór, a na tamtejszych drogach po zachodzie słońca nie spotkasz już ani jednego auta. Jazda nocna jest bowiem ustawą zabroniona dla uniknięcia i tak zbyt częstych wypadków, które się nieraz smutnie kończą.

³⁷ Mowa o trzęsieniu ziemi z 1908 roku, w którym w samej Mesynie zginęło 83 tysiące ludzi – 55% mieszkańców. Miasto przez kilka następnych lat było opuszczone. Jego odbudowa trwała do 1920 roku.

Wyraził on [druh Jeliński] swoje obawy towarzyszom, zalecając im zatrzymanie się gdzie na noc; ale nie chcieli o niczym słyszeć.

– Tyle drogi już przejechałeś – mówili – wierzymy ci, że dasz sobie i tutaj radę. Nic a nic się nie boimy.

Wobec tego druh Jeliński, aczkolwiek niechętnie, ruszył dalej. Umówiono się uprzednio, że w razie niebezpieczeństwa siedzący wewnątrz Smosarski i Brettschneider powyskakują przez drzwi lub okno.

Zaczęto spuszczać się po bardzo stromym odcinku szosy, obfitującym w wiraże. Po prawej ręce była góra, wysoka na kilkaset metrów, po lewej bezdenne przepaść, tak iż patrząc w nią doznawało się bardzo przykrego uczucia. Lada nieostrożność w kierowaniu autem, a stoczyłoby się ono po ostrych skałach, gdzieś o paręset metrów w dół. Niewesoła perspektywa! Druh Jeliński przyzwał więc na pomoc całą swą zimną krew i zdobyte doświadczenie. Jechał z początku jak mógł najwolniej, ale czuł, że mimo hamowania to nożnym to ręcznym hamulcem, mimo zgaszonego motoru i włączonego drugiego biegu, fordzik rozpędzał się coraz bardziej. Niebawem szosa i zbocza góry zamieniły się jakby w szarą smugę. Pęd powietrza urósł do siły potężnego wichru. Auto, niby rozbiegany, oszalały rumak, pędziło na oślep po stromej pochyłości, na domiar złego pełną wirażów. Kompresja pod tłokami zgaszonego silnika także nie wiele skutkowałą.

Sytuacja stawała się tragiczna. Druh Jeliński, zdając sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa, oblewał się zimnym potem; czuł najwyraźniej jak z przerażenia włosy stają mu dęba na głowie. Śmierć zajrzała mu wprost w oczy. Wiraż! Zahamował rozpaczliwie, lecz spod palących się tasiem hamulcowych zaczął wydobywać się gryzący dym. Był to oczywisty dowód, że hamulce przestały funkcjonować. Ford, nie wstrzymywany już niczym, leciał na złamanie karku. Wszelkie spotkanie z innym jakimś wozem w tych okolicznościach oznaczało śmierć niechybną. Druh Jeliński, nie wiedząc już, jak się ratować, skręcał nieco w bok i podjeżdżał pod górę z prawej strony szosy. Udało mu się kilkakrotnie w ten sposób powstrzymać bieg wariacki auta, ale nie na długo. Za chwilę ford znów z zawrotną szybkością toczył się po okropnej pochyłości.

W jednym z takich momentów zwolnienia biegu, druh Jeliński krzyknął na towarzyszy: „wyskakujcie”.

Pokazało się, że nie czekali oni na to wezwanie, ale odważnie wyskoczyli już przedtem. Szczęściem padli na trawiaste zbocze góry i wyszli z tej ciężkiej przygody bez znacniejszego szwanku. Skończyło się na obdarciu skóry z kolan.

Jeliński widząc, że nic nie poradzi, zdał się na los, doszedł bowiem do przekonania, że podjeżdżając w pędzie pod górę mógł być łatwo od niej odrzucony w przepaść i zginąć bez ratunku. Taka piekielna jazda, wyczerpująca do dna siłę nerwową, trwała jeszcze przez kilka minut. Na szczycie pochyłość kończyła się. Ford zwalniał sam z siebie szalony bieg. Teraz dopiero druh Jeliński poddał się rozstrojonym nerwom. Zaczął trząść się jak w febrze, i chociaż auto stanęło i hamulce dymiły się, nie był w stanie wprost ruszyć się z miejsca. Kiedy w jakąś godzinę później towarzysze nadeszli, kulejąc, zastali go w niezmienionej pozycji, na pół nieprzytomnego od doznanych wrażeń.

Zepchnięto maszynę na bok do niewielkiego rowu i rozłożono się biwakiem. Towarzysze, wdzięczni za tak cudowne ocalenie druhowi Jelińskiemu, otoczyli go czułą opieką. Zrobili mu jak najwygodniejsze posłanie i czuwali przy nim, jak rodzice przy chorym dziecku. Smosarski, który sam był sportowcem, mówił z zachwytem:

„Brawo Jurku! Brałeś wiraże, że aż miło było patrzeć! Chociaż kolana mnie piekielnie bolały po wyskoczeniu, to jednak z satysfakcją patrzyłem, jak sobie dajesz radę, chociaż chwilami, przyznaję to, wpadałem w zwątpienie, a nawet w rozpacz: zabije się, jak Boga kocham! Myślałem sobie. Licho weźmie całą ekspedycję i będzie trzeba piechotką wracać do Polski”.

„Idąc szosą. Iada chwila spodziewałem się, że znajdę fordzielca roztrzaskanego w drzazgi. Ja i Brettschneider spoglądaliśmy w przepaść, szukając tary na dnie w potoku ciebie i twojego zwariowanego auta! No, ale jakoś przy Boskiej pomocy wykręciłeś się z tego potrzasku!”.

„Niech ich nie znam, tych Włochów. którzy takie szosy budują. Ani to poręczy, ani żadnych ostrzegawczych sygnałów! Jeżeli tak dalej będzie, to wolę iść na spadzistościach spacerkiem, niż tak karku nadstawiać”.

Podniósł nos w górę, odetchnął głęboko, jak przykazuje hatha joga, dodając: „Życie jest zaiste piękne! Szkoda by je było stracić tak marnie”.

Po ciężko przespanej nocy w namiocie, joga nakarmił druha Jelińskiego, czym tylko mógł. Ponieważ jednak środki materialne wyprawy wyczerpały się, więc ucztą ta, będąca nagrodą za szczęśliwe ocalenie, składała się z paru pomarańcz, kawałka cukru i chleba. Za napój posłużyła woda z potoku.

Wyprawa miała nadzieję, że w Palermo wsiądzie na statek i przeprawi się do tak niecierpliwie oczekiwanej Afryki. Lecz kiedy przybyto do tego malowniczego portu sycylijskiego i udano się na zwiady, to się okazało, że przejazd okrętem kosztowałby więcej aniżeli wynosił żelazny fundusz wyprawy.

Na poczcie, gdzie spodziewano się zastać obfitą korespondencją i pieniądze, znaleziono zaledwie parę odkrytek³⁸ z życzeniami wesołych świąt wielkanocnych. Od rodziny i przyjaciół nie było nic! To wprawiło naszych skautów w kiepski humor.

Zapuścić się do Afryki bez zasiłku pieniężnego było bardzo ryzykownie; nie cofnięto się atoli przed tym niebezpiecznym krokiem. Nie mogąc opłacić przejazdu z Palermo do Czarnego Łądu, postanowione jechać aż do krańcowego portu sycylijskiego Trapani, skąd najbliżej do brzegów afrykańskich .

W miarę tego, jak posuwano się na południe, upały, mimo wczesnej wiosny, dawały się coraz bardziej we znaki. Jadąc wolno, stopniowo oswajano się z cieplejszym klimatem. Gorący wiatr wiejący od Afryki przynosił już jakby woń tej tajemniczej części świata.

Kraj przedstawiał się niezbyt ponętnie. Nędzne wioski, rozrzucone po stokach gór spalonych słońcem i przeważnie nagich, albo okrytych szarą zielenią drzew oliwnych, nie mogły nęcić oka. Ludność prostacka, nieokrzesa, spoglądała podejrzliwie na auto, mknące po pustkowiach, nie uczęszczanych przez turystów.

W pewnej karczmie przydrożnej, gdzie się zatrzymano dla nabycia artykułów żywnościowych, zastano kilkunastu chłopów, o ponurych, spalonych słońcem fizjognomiach. Ludzie ci, dowiedziawszy się, że mają do czynienia z Polakami, zaczęli sobie pozwalać na różne pseudodowcipne żarciki³⁹. Kilkunastu z nich poufale zaczęło klepać po ramieniu naszych skautów. Brettschneider, który nie lubi, żeby mu w kaszę dmuchano, podszedł do jednego z chłopów i odwzajemnił mu się potężnym kłapinięciem w ramię. Ale nie doszło jakoś do nieprzyjacielskich kroków. Wszczęła się pogawędka, prowadzona na pół po włosku, na pół po francusku.

Nasi skauci mówili tym ciemnym ludziom o swej Ojczyźnie. Ze swej strony Włosi chwalili swoją. Skończyło się na tym, że chłopci, ujrawszy fotografię wyprawy z duce Mussolinim, którą nie omieszkanie im pokazać, nabrali respektu dla naszych podróżników. Pożegnano się dość serdecznie, wznosząc okrzyk na cześć Mussoliniego i Polski.

Nareszcie ukazało się Trapani. Jest to zapadła dziura portowe, dokąd większe okręty bardzo rzadko zawijają. Zaczęły się usilne poszukiwania statku, który by zgodził się za umiarkowaną opłatą przewieźć auto i podróżników przez morze.

Dla nadania sobie większej powagi ułożono się, że Smosarski będzie udawał bogatego i znanego w świecie podróżnika. Brettschneider był jakoby nadwornym operatorem, mającym uwiecznić na filmie jego sławne czyny. Druh Jeliński zaś grał rolę prywatnego szofera,

³⁸ Odkrytka – dawna nazwa pocztówki.

³⁹ Po włosku „polachi” znaczy „buciki”.

zajeżdżając przy głośnym trąbieniu przed kantory linii okrętowych. Robiono przy tym taki rejwach i hałas, że mógłby on nawet poruszyć nieboszczyków w grobie.

Ta hałaśliwa reklama odniosła pożądany skutek. Zdołano wbić w głowę jednemu z dyrektorów większej agencji, że leży w jego interesie zrobić wyprawie jak największe ustępstwo na złość konkurentom. Obiecano mu, że będzie ze wszystkimi swymi urzędnikami sfilmowany podczas załadowywania auta na statek, i że te filmy obiegają po tym całą Europą, a nawet Amerykę. Kiedy nadeszła wreszcie stanowcza chwila i wciągano żurawiem auto na pokład okrętu, który odbywał kursy pomiędzy Tunisem a Triestem, Brettschneider z wielką powagą grupował swoich pacjentów, ustawiając ich na wszelkie sposoby. Robiło to wrażenie, że przygotowuje się wielkie atelier kinematograficzne. Dyrektorowie, urzędnicy kompanii, marynarze, tragarze, nawet łobuziaki portowe, wszystko wzięło udział w tym zaimprovizowanym przedstawieniu. Dyrektorzy, bardzo przejęci swoją rolą, robili niezmiernie komiczne miny, starając się trzymać na przedzie grupy; udawali filantropów, zapominając jakby, że kazali sobie za przeprawą sporo grosza zapłacić.

Bruno sfilmował kawałek tej komicznej sceny, ale zabrakło mu taśmy. Nie tracił jednak dobrej miny, tylko w dalszym ciągu kręcił korbą. Powtórzył całą tę komedią parą razy, ku wielkiemu zadowoleniu licznie zgromadzonych trapanistów.

Niestety, joga Smosarski nie potrafił do samego końca utrzymać powagi sytuacji. Zapomniawszy znać, że miał uchodzić za bogatego turystę, w ostatniej chwili, kiedy już podnoszono kotwicę, zjawił się na pokładzie, dźwigając nie zawinięty nawet w papier olbrzymi bochen czarnego chleba, którym wyprawa miała się żywić podczas przejazdu morskiego.

Fakt ten obniżył niezmiernie prestiż jego dyrektorskiej mości, naczelnika ekspedycji. Odtąd marynarze i agenci kłaniali się z daleka mniejszą uniżonością, ale nie dbano już o to z chwilą, kiedy fordzik znalazł się na pokładzie statku, a bilety opłacone – w kieszeni.

Okręt był przepełniony podróżnymi. Nie pozostało ani jednego miejsca w kajutach. Nasi skauci musieli obiecać, że zamieszkają podczas podróży morskiej we wnętrzu auta. Nawet na pomoście nocowali mniej zamożni pasażerowie. Nie brakowało też różnych czworonogów. Kiedy statek opuścił port i znalazł się na pełnym morzu, zerwał się mocny wiatr i zaczęło niemiłosiernie kołysać. Skauci, najadłszy się na noc chleba i jakichś rybek, zaczęli tracić humor. Co chwila któryś zniknął pod pokładem i wracał stamtąd chwiejnym krokiem, żółty jak cytryna. Na pytanie, czy go nie wzięło, zapewnia! Atoli, że morskiej chorobie nie podlega.

Tak po kolei każdy odegrał swoją komedię. Nikt oficjalnie nie chorował, ale co się tam działo „prywatnie” pod pokładem, o tym lepiej nie wspominać.

Rankiem, po marnie spędzonej nocy, nasi skauci ujrzeli na widnokręgu ciemną linię, która niebawem zamieniła się w wyraźnie zarysowany brzeg afrykański. Niebawem parowiec zarzucił kotwicę w Tunisie, stolicy kraju tejże nazwy, znajdującego się pod protektoratem francuskim.

Podróż po Czarnym Łądzie miała się niebawem rozpocząć.

ROZDZIAŁ X.

PRZEZ TUNIS DO ORANTU. KŁOPOTY CELNE. WSZĘDZIE POLACY.

Statek zatrzymał się u bulwaru portowego przed komorą celną, gdzie czekały wyprawę niespodziewane przykrości.

Władze celne zażądały od naszych podróżnych dość wysokiego cła za wprowadzone z zagranicy auto. Ma się rozumieć, że nie mogło o tym być mowy, żeby nasi podróżni, których kaleta mocno wychudła, zapłacili pokaźną sumkę. Okazano więc tryptyk, otrzymany od Automobilklubu warszawskiego. Na zasadzie tego dokumentu turyści nie płacą ceł, przejeżdżając przez obce kraje, pod warunkiem, że nie sprzedadzą swojego samochodu. Ale w Tunisie nikt nie widział tryptyku i nie znał jego użytku. Podróżni nie mała się napocili, zanim zdołali wybrnąć z tej afery, która groziła im wystawieniem auta na licytację publiczną. Dopiero miejscowy automobilklub zdołał wytłumaczyć władzom, że dokument obowiązuje nawet w Tunisie.

W Warszawie jeszcze otrzymano adres pewnego Polaka, do którego natychmiast udano się po radę i opiekę.

Miasto Tunis nosi charakter wybitnie wschodni: małe, niskie domostwa, białe o płaskich dachach, o maleńkich okienkach od strony ulicy; ludność różnobarwna, przeważnie składająca się z Arabów, Murzynów i Mulatów, krzykliwa, nędznie odziana w białe lub jaskrawo pofarbowane burnusy⁴⁰, bosa i brudna, wszystko to nie zrobiło na przybyszach dodatniego wrażenia. Przy tym upał, pomimo zimy, dawał się już dobrze we znaki.

Dzień był gorący, a noce tak chłodne, że nawet pod wełnianą kołdrą szczykało się zębami. Takie różnice temperatur dla nieprzywykłego do nich Europejczyka są bardzo przykre i trzeba dość długi czas, żeby się do tego przyzwyczaić.

Dzielnica arabska, sąsiadująca już z pustynnym wnętrzem kraju, jest zamieszkała przeważnie przez najuboższą ludność tubylczą. Francuzi zbudowali jednak w pobliżu portu nową dzielnicę europejską, wyposażoną we wszystkie nowożytnie zdobycze cywilizacji, a więc: porządne hotele, tramwaje i oświetlenie elektryczne oraz dobre bruki. Są to jakby dwa zupełnie do siebie niepodobne miasta, reprezentujące dwie kultury: wschodnią i zachodnią.

Podróżni wsiedli z zadowoleniem do swego aucika i pojechali, kierując się wskazówkami policjantów, do pana Ostrowskiego, który zamieszkuje od dawna Tunis i

⁴⁰ Burnus – obszerne, długie okrycie z kapturem i bez rękawów, najczęściej z białej wełny, noszone przez Arabów.

choć przyjął obywatelstwo francuskie, to jednak mówi doskonale po polsku i jest zapalonym patriotą. Do niego spieszo po radę i pomoc, jako do jedyne go rodaka w tej krainie. Trzeba bowiem zaznaczyć, że w Afryce Północnej nie było wtedy ani jednego konsula polskiego. Dopiero w ostatnich czasach z powodu zamierzonej kolonizacji polskiej w Algierze zostali mianowani przedstawiciele rządu polskiego.

Pan Ostrowski posiada na krańcu dzielnicy europejskiej niewielki sklep z zegarami i zegarkami kieszonkowymi. Sprzedaje ich atoli niewiele, bo głównie utrzymuje się z reperacji. Cieszy się on wielką popularnością w mieście – nie tylko między Europejczykami, ale i Arabami, zna bowiem wyśmienicie język arabski. Kiedy aucik wyprawy zajechał z flagą polską, wywieszoną z tyłu, pan Ostrowski ucieszył się niezmiernie z przybycia rodaków. Nad sklepem ukazała się jego własna flaga, którą od chwili odzyskania niepodległości przez Polskę stale wywieszał w każde święto narodowe.

Człowiek ten oddał wyprawie nieocenione przysługi, informując o miejscowych stosunkach. Sam wiele podróżował w głąbi kraju z karawanami i znał doskonale obyczaje Arabów. Ostrzegał, żeby nigdy nie nocować w ich sąsiedztwie, gdyż są to, z pewnymi nielicznymi wyjątkami, zawodowi rabusie. Póki obcy znajduje się w ich namiocie, póty jest gościem gospodarza i Allacha. Z chwila jednak, kiedy opuszcza go, staje się obcym, którego obrabować, a nawet zabić, jako „niewierne go psa”, każdy Arab poczytuje sobie za obowiązek, o ile naturalnie posterunki francuskie nie znajdują się w pobliżu.

Rada ta wysłała naszym podróżnym na dobre podczas ich podróży po Afryce Północnej.

Pan Ostrowski udzielił wyprawie różnych potrzebnych wskazówek i adresów. Udano się przede wszystkim do miejscowego automobilklubu, który już okazał pomoc w zajęciu z władzami celnymi, po mapy niezbędne dla dalszej podróży. Zarząd klubu prosił druha Jelińskiego, ażeby ten przyjął odznakę klubową. Oświadczono naszym podróżnym, że o ich obecności w kraju będą powiadomione Kluby w Algierze i Marokku, ażeby w razie jakiej przygody mogły pospieszyć z pomocy.

Drugą ważną czynnością było zaopatrzenie się w znaczny zapas paliwa do silnika i smaru. Druh Jeliński był w posiadaniu listu polecającego od warszawskiej dyrekcji Vacuum Oil Company do przedstawicieli tejże firmy na całym świecie. Podobne listy miano i od firm Standard Nobel. Dzięki tym dokumentom nasi podróżni otrzymywali po zniżonej cenie, lub zgoła za darmo, materiał pędny, którego nabycie przy ich skromnych funduszach byłoby często zgoła niemożliwe. Rewanżując się za tę przysługę, druh Jeliński oświadczał przy każdej sposobności, że całą podróż odbywa materiałem pędnym wymienionych firm i że

dzięki temu wyborowi zdołał pomyślnie odbyć i skończyć swój rajd naokoło świata, co zresztą było zgodne z prawdą. Ta obfitość materiałów pędnych stała się deską ocalenia dla wyprawy.

Pewnego dnia, jadąc ulicami Tunisu, spostrzeżono jakiegoś dorodnego, dobrze zbudowanego Araba, w malowniczym kostiumie narodowym, który na widok forda zaczął jak wariat wymachiwać rękami i w podskokach wpadł na środek jezdni, dając znaki podróżnym, żeby ci się zatrzymali.

Od razu tłum Arabów otoczył maszynę. Na razie chłopcy nasi nie wiedzieli, co myśleć o tym dziwnym zachowaniu się Araba. Może zwariował, może popełniono jakiś nietakt albo, co gorsza, przestępstwo?

Arab jednak, skoro ford zbliżył się doń, krzyknął z zapałem po polsku: „Niech żyje Polska!”. Ten niespodziewany okrzyk w rodzimym języku wywarł na podróżnikach głębokie wrażenie. Wyskoczono z auta i zaczęto ścisnąć Araba. Okazało się, że człowiek ten tak niespodziewanie napotkany tutaj, poznał barwy polskie i chciał wywzajemnić się za dobre przyjęcie, jakiego niedawno zaznał w Polsce, dokąd go wysłano z Konstantynopola w delegacji, która imieniem Kemala Paszy⁴¹ doręczyła Marszałkowi Piłsudskiemu srebrną szablę od narodu tureckiego na znak wiecznej przyjaźni.

Znał on tylko ten jeden frazes, ale można było porozumieć się z nim po francusku, chociaż z biedą. Wyniósł on przyjemne wspomnienia z Polski i był dla niej bardzo przyjaźnie usposobiony. Poproszono go, żeby się wpisał do pamiątkowej księgi, cc też zaraz uczynił, po czym objaśnił zebranemu tłumowi Arabów, kim są napotkani przez niego podróżni i po co tu przyjechali. I tutaj więc robiono propagandę na rzecz Polski.

Podróżni zapytali Araba, gdzie by można zakosztować narodowych przysmaków tuniskich. Zaprowadził on ich w ciasną uliczkę, gdzie unosił się w powietrzu zapach tłuszczów i potraw. Zatrzymano się przed nędznym sklepikiem. Brudny Arab siedział z podwiniętymi nogami na dywaniku przed pierwotną bardzo kuchnią. Składała się ona z pewnego naczynia, którego lepiej nie nazywać po imieniu, z żarzącym się węglem. Nad nim, na żelaznym ruszcie, skwierczały jakieś długie poskręcane przedmioty. Arab wskazał na nie, uśmiechając się z zadowoleniem.

Był to, jak się okazało, jeden z przysmaków miejscowych – świeże flaki baranie, które smażyły się w swoim własnym tłuszczu. Należało zrobić dobrą miną i skosztować specjału,

⁴¹ Mustafa Kemal Atatürk (1881-1938) – turecki polityk, wojskowy, współtwórca i pierwszy prezydent Republiki Turcji. Podczas pierwszej wojny światowej był dowódcą dywizji, a w 1916 uzyskał stopień generała i tytuł paszy.

który Arab kładł każdemu brudnymi palcami na jeszcze brudniejsze talerzyki. Jeżeli jakaś kropla smacznego tłuszczu groziła skapnięciem na ziemię, przewidujący gospodarz podcierał kiszeczkę palcem i oblizywał go z apetytem.

Kiedy z przykrością, żeby nie obrazić Araba, połknięto przysmak, okazało się, że to dopiero wstęp do uczty. Na drugie podano kwaśne mleko. Gospodarz naprzód sam skosztował płynu, robiąc kilka dobrych łyków, po tym dopiero zaczął rozlewać go na niemiłosiernie brudne krużki⁴² gliniane. Obiad ten zakończył się garstką daktyli, wyjętych z woreczka.

Przy pożegnaniu „restaurator” przedstawił na piśmie dość słony rachunek. Kolega Brettschneider obliczył jednak wszystko na nowo i skończyło się na tym, że zapłacono trzecią część żądanej sumki.

W ogóle Arabowie stawiają zawsze wysokie ceny, licząc z góry na to, że nabywca będzie się z nimi zajadle targował. Cudzoziemiec powinien o tym pamiętać, odwiedzając sklepy na bazarze.

W Północnej Afryce istnieje jedna tylko dostępna dla samochodów szosa, ciągnąca się nad morzem przez Konstantynę i Oran do Algeru. Jest ona dziełem żołnierzy legii cudzoziemskiej. Tą właśnie drogą wyprawa, opuściwszy Tunis, skierowała się do Konstantyny.

Jest to miasto bardzo godne uwagi i malowniczo położone po obu stronach głębokiego, skalistego wąwozu. Na jego dnie płynie rzeka, która nie wysycha nawet podczas upałów letnich. Nad tym wąwozem, zwanym Rhumel, o niezmiernie stromych skalistych zboczach, rzucono najwyższy podobno na całym świecie most kamienny, którego główny łuk ma 175 metrów długości. Most jest przynajmniej na kilometr długi i słusznie szczycą się nim francuscy inżynierowie, którzy go zbudowali.

Na szczytach skalistych ścian Rhumelu są pobudowane domy, jakby gniazda ptasie, co nadaje miastu niezmiernie oryginalną fizjonomię.

Konstantyna nosi charakter na wpół wschodni, na wpół europejski. Oko turysty uderza niezwykle duża ilość bocianów, które gnieźdzą się w ruinach albo na dachach domów, wieńczących skały wąwozu. Są one bardzo oswojone i wespół z sępami utrzymują jaki taki porządek na ulicach i ciasnych podwórkach.

⁴² Krużka – dawna jednostka objętości stosowana w Rosji, odpowiadała objętości 1,23 litra. Tu w znaczeniu: spodek.

Ludność jest tu mieszana, Europejczycy mieszkają w ładniejszych dzielnicach, Arabowie zaś i Kabyle⁴³ gnieźdzą się przeważnie na skrajach i w pobliżu wąwozu.

Wjechawszy do Konstantyny, nasi skauci przede wszystkim udali się na targ, gdyż wobec nadchodzących świąt wielkanocnych, które zamierzano spędzić gdzieś w drodze do Algeru, należało pomyśleć o porobieniu pewnych zapasów żywności. Niestety, kiedy obliczano kasę ogólną, okazały się w niej przeraźliwe pustki. Złożono radę, ale nikt nie umiał zdobyć się na jakiś koncept; głód zaczął zaglądać w oczy naszym podróżnikom. Humory bardzo się popsuły: siedziano koło auta, łamiąc sobie głowy, skąd wziąć środków na dalszą podróż. Nikt bowiem nie chciał nawet przypuścić, że całe przedsięwzięcie może rozbić się o brak marnej gotówki. Wprawdzie w Afryce można żyć byle czym. Arab zadawała się garstką daktyli na obiad albo kolbą kukurydzy i paroma owocami; trudno jednak żądać od Europejczyków, żeby tak raptownie przyzwyczaili do postu swoje zbałamucone żołądki. Nawet joga Smosarski, który przepadał za owocami, musiał mieć od czasu do czasu kawał chleba.

Jeden tylko druh Jeliński nie tracił nadziei. Pozostawił swoich towarzyszy, pograżonych w smutnych rozmyślaniach na temat „święconego”, sam zaś pojechał do składu Mobil Oil dla odnowienia zapasów oliwy. Miał on, jak wiadomo, kredyt nieograniczony na materiały pędne dzięki wspaniałomyślności firmy, z którą był w porozumieniu. Nie zastanawiając się głębiej, kazał sobie dać o dwie blaszanki oleju więcej, niż zwykle. W jego myśli zaczął kiełkować zbawczy projekt, mogący ocalić wyprawę od śmierci głodowej. Przecież wszędzie, gdzie jeżdżą autami, olej mineralny, a zwłaszcza tak znanej i cenionej firmy jak Vacuum Oil Company, ma wartość gotówki. Dlaczegożby więc...

Druh Jeliński nieśmiało spróbował u pierwszego lepszego piekarza dokonać wymiennego handlu. Ku wielkiemu jego zadowoleniu Arab chętnie za bańkę Mobil Oilu dał parę bochenków chleba, i jak się zdawało, był bardzo zadowolony z dokonanego interesu. Podjął się sprzedać i drugą bańkę na rzecz wyprawy. Załatwiono to bez trudności. Druh Jeliński uczuł się nagle panem sytuacji. Na targu kupił owoców, cukru, kaszy i kartofli. Nie zapomniał także o znaczkach pocztowych, ażeby każdy z uczestników wyprawy mógł napisać do domu list z życzeniami dla swoich bliskich.

Ukrywszy starannie w aucie zdobyte tak pomysłowo produkty, wrócił do towarzyszy; na razie jednak nie wtajemniczył ich w swoje czynności.

⁴³ Kabylowie – naród berberyjski, zamieszkujący głównie w północno-wschodniej Algierii i przygranicznych obszarach Tunezji. Posługują się głównie językiem kabylskim, czasem też arabskim. Niemal wszyscy wyznają islam sunnicki.

Właśnie joga głęboko się zastanawiał nad tym, czyby nie sprzedać lub nie zastawić złotego sygnetu, który jeszcze miał na palcu. Brettschneider zaś, który posiadał żelazny fundusz osobisty na drogę powrotną w razie jakiego niepowodzenia, za nic na świecie nie chciał się zgodzić, żeby go naruszyć. Położono się więc spać na głodno. Nazajutrz rano wyjechano, zmierzając ku zachodowi i zatrzymano się wkrótce w pewnym uroczym zakątku. Tutaj, nad słodko szmerzącym zimną wodą strumykiem, wśród gaju kwitnących oleandrów, które roztaczały daleko wokół silny aromat, zamierzono rozłożyć obóz i spędzić święta. Za całe święcone spodziewano się mieć tylko twarde suchary, rozmoczone w wodzie strumienia.

Smolarski, jak nakazywała hatha joga, poszedł wymyć swą doczesną powłokę w kryształowych wodach potoku. Brettschneider zaczął prać bieliznę, żeby godnie wystąpić w święta. Podczas ich nieobecności druh Jeliński wydobyl z bagażnika ukryte zapasy i podzielił je na trzy porcje.

Można sobie wyobrazić, jak wielkie oczy zrobili jego towarzysze, kiedy wróciwszy do obozu, spostrzegli te skarby. Wśród głośnych pochwał dla pomyslowego kolegi rozpalono suty ogień i zaczęto obierać jak najcieniej kartofelki.

„Polską cieniutką kartoflanę zajadaliśmy po afrykańsku”, powiada Jeliński, „bo zamiast okrasy musieliśmy zadowolić się solą”.

Na drugie danie tej uczty świątecznej była kasza na gęsto, obficie posypane cukrem, na deser zaś każdy dostał garść świeżych daktyli, które w Afryce są daleko smaczniejsze niż w Polsce, i po dwie zielone, słodkie jak miód figi. Zamiast wina lub piwa stał przy improwizowanym stole cały kubek czystej jak kryształ i zimnej wody.

"Zaręczam", kończy swe wspomnienie druh Jeliński, „że to wszystko lepiej nam smakowało, niż wam wszystkie babki, placki, mazurki i mięsiwa, którymi w ów dzień Wielkiej Nocy objadaliście się, tam w Warszawie, o parę tysięcy kilometrów od nas. W dodatku mieliśmy dużo słońca, kwiatów zieleni, ładne widoki, co nam zastąpiło niedostatki naszego „święconego” afrykańskiego. Czuliśmy tylko żal do was, że tak tłumnie i tak serdecznie nas żegnaliście, a tak prędko o nas zapomnieliście... Gdybyśmy byli otrzymali choć parę listów z Ojczyzny, bylibyśmy wówczas zupełnie szczęśliwi”.

Bruno Brettschneider, który już kończył swoją karierę dla braku taśmy, ostatni kawałek zużył na sfilmowanie uczty wielkanocnej pod obcym i gorącym niebem afrykańskim. Czuł on, że choć z żalem, lecz będzie musiał rozstać się z towarzyszami, gdyż środki materialne wyprawy nie pozwalały jej łożyć dość znacznych kosztów na drogę taśmy kinematograficzne. Posiadał on pewien skromny fundusik na czarną godzinę odłożony, który mógł mu od biedy starczyć na drogę powrotną. Roztropność nakazywała nie naruszać go i tak

też pan Brettschneider uczynił. Nie uronił ani centa, nawet wobec widma głodu, które stanęło na drodze naszym skautom.

ROZDZIAŁ XI.
W ALGERII. BU SAADA.
NIEBEZPIECZNA PRZEPRAWA PRZEZ PUSTYNIĘ DO BISKRY.

Drogą samochodową, prowadzącą w sąsiedztwie morza z Konstantyny na zachód, w ciągu paru dni wyprawa dotarła bez przeszkód do stolicy kraju, który jeszcze sto lat temu znajdował się pod władzą despotycznych sułtanów i był gniazdem niebezpiecznych piratów. W ciągu jednego wieku Francuzi zdołali nie tylko podbić Algierię, ale także zrobili niezmiernie dużo dla podniesienia tej żyznej z natury ziemi, która obecnie jest perłą kolonii francuskich. Zaprowadzono tam racjonalne rolnictwo i wywiercono liczne studnie artezyjskie⁴⁴, które dostarczają dużo wody dla nawadniania plantacji i stają się centrami nowych oaz. Wielkie kapitały włożone w studnie bardzo się opłaciły. Rząd francuski nie ustaje w tych zabiegach, dzięki którym ludność podnosi się liczebnie i materialnie. Sama stolica, miasto Alger, posiada wspaniały port i jest zbudowana amfiteatralnie na stokach pagórków, otaczających półkolem przystań.

Dzielnica europejska zupełnie przypomina miasta kulturalne; jest tu dużo gmachów rządowych, teatrów, świątyń chrześcijańskich i muzułmańskich oraz skwerów, tonących w zieleni palm, które w tutejszym klimacie wspaniale rozwijają się i dostarczają dostatek cienia.

Dzielnica arabska, jak we wszystkich miastach północnej Afryki, jest zabudowana niskimi domkami o płaskich dachach i nie grzeszy zbyt wielką czystością ani komfortem. Nasi skauci dowiedzieli się, że w mieście istnieje rodzaj klubu polskiego. W nadziei, że spotkają się tam z rodakami, zajęli przed położoną na krańcach miasta willę, ale doznali zawodu. Prócz bowiem prezesa, pana Z. Godziszewskiego, i paru członków, nikogo więcej nie mogli tam poznać. Okazuje się, że kolonia polska w Algerze jest bardzo szczupła. Ofiarowano naszym podróżnikom za niewielką zapłatą garaż dla auta, gdzie także i oni sami mogli w razie potrzeby zamieszkać.

Nie było to ani wygodne, ani ładne, ale zawsze zapewniało dach nad głową, gdyż obozowanie pod gołym niebem, wobec znanej skłonności Arabów do złodziejstwa, nie należało do bezpiecznych przedsięwzięć. W dodatku zaoszczędzało to i tak już bardzo

⁴⁴ Studnia artezyjska – studnia, powstająca przez wywiercenie otworu do wód artezyjskich – głęboko położonych warstw wodonośnych, w których woda znajduje się pod ciśnieniem hydrostatycznym. Woda z takiego odwiertu wypływa samoczynnie, niekiedy jest pod dużym ciśnieniem.

skąpych zasobów. Otwarcie mówiąc, kaleta wyprawy była pusta. Trzeba było pomyśleć o jakim sposobie zarobkowania.

Po długich namysłach Joga Smosarski wpadł na projekt, żeby urządzić odczyt o podróży samochodem naokoło świata dla miejscowej publiczności w jednym z kin. Prezes domu polskiego przełożył rękopis dostarczony przez druha Smosarskiego na poprawny język francuski, a kolega Brettschneider podjął się wyświecić porobione przez siebie przezrocza. Na poczet spodziewanych dochodów zaraz po zjawieniu się afiszów zdołano uzyskać w pewnym sklepie kredyt na artykuły żywnościowe i wszyscy byli najlepszej myśli. Biegano od rana do nocy, ażeby całość wypadła jak najlepiej.

Niestety, te piękne nadzieje rzeczywistość obaliła jednym podmuchem niepomyślnego wiatru. Okazało się, że na zajmujący bezsprzecznie odczyt przybyło dużo młodych skautów za ulgowymi biletami. Prawdziwej, zamożniejszej publiczności zjawilo się kilkanaście zaledwie osób. Gorąco odstręczało wszystkich od tego rodzaju przyjemności. Kiedy po odczycie kolega Brettschneider obliczył kasę, okazał się dość znaczny deficyt zamiast spodziewanego dochodu. Włożone pieniądze i praca przepadły. Pocieszano się tylko myślą, że bądź co bądź zrobiono pewną propagandę na rzecz Polski. Ale to nie poprawiło materialnej sytuacji wyprawy.

Druh Jeliński poczuł, że on jeden może uczynić coś realnego dla kolegów, jako kierowca samochodu wyprawy, znający dobrze swoje rzemiosło. Wnet się okazało, że pomysł to bardzo szczęśliwy. W parę dni po niefortunnym odczycie poznano się w domu polskim z wybitną osobistością, profesorem Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie, panem Jerzym Czekałskim.

Profesor, jako geolog, otrzymał stypendium na badania pustyni Sahary i przyjechał do Algeru w zamiarze odwiedzenia szeregu miejscowości, które go specjalnie interesowały. Chciał on dotrzeć do Biskry, Bu Saady i innych oaz, położonych wśród pustyni o kilkaset kilometrów od Algeru. Zapowiedział przy tym, że niebawem przyjedzie z Warszawy mecenas Poznańska, osoba zamożna, która również wybiera się w tamte strony w charakterze turystki.

Otworzyła się więc niespodziewana perspektywa jakiegoś zarobku. Druh Jeliński podjął się zawieźć profesora i jego znajomą przez pustynię do Bu Saady. Nie było to łatwe ani bezpieczne przedsięwzięcie, droga bowiem prowadzi poprzez skaliste góry Atlasu Saharyjskiego i następnie przechodzi w zupełne bezdroża, które zwykle przebywa się na wielbłądach karawanowo.

Koledzy druha Jelińskiego mieli z początku czekać na jego powrót, ale pan Brettschneider, znużony i zniechęcony ciągłymi brakami, a nawet niedostatkiem, jaki

wyprawa cierpiała w Afryce, wycofał się z przedsięwzięcia, które mu się wydało nierentownym; zabrał więc swój aparat i dokonane zdjęcia w zamiarze spieniężenia ich w Europie.

Po tym, spodziewanym zresztą, rozstaniu druh Jeliński pozostał tylko w towarzystwie jogi Smolarskiego, który nie tracił ducha i był gotów na największe nawet ofiary, aby tylko doprowadzić do końca podróży.

Pani mecenasowa Poznańska wysiadła z parowca w towarzystwie istotki, którą druh Jeliński wziął za rozłobuzowanego chłopca, była bowiem ubrana w majteczki, sportowy kapelusik, i wywijiała energicznie trzymaną w rękę szpicrutą. Jakież było zdziwienie druha Jelińskiego, kiedy nazajutrz, przybywszy do hotelu, zamieszkałego przez profesora Czekalskiego, dla ułożenia marszruty na oazy, przekonał się, że ten hałaśliwy chłopiec zamienił się w poważną, dziesięcioletnią dziewczynkę, o której przyjaźń wszyscy obecni usilnie zabiegali. Hanka Poznańska była nad wiek rozwiniętą umysłowo panienką, z którą można było poważnie o wielu rzeczach pomówić. Obdarzona bardzo bujnym temperamentem, wносиła życie i humor wszędzie, gdzie się znalazła.

Ona to, jak się okazało, poznawszy druha Jelińskiego, zapragnęła w jego towarzystwie zaznać silnych wrażeń w podróży przez pustynię. Namawiała więc gorąco matkę, ażeby ta zgodziła się na dość awanturniczą wyprawę. A matka nie potrafiła oprzeć się naleganiom swej ukochanej jedynaczki, lubo ze strachem, przystąpiła więc do przygotowań.

Druh Jeliński, otrzymawszy pokaźną zaliczkę, zabrał się do reparowania opon i do robienia zapasów paliwa na drogę. Część z tych pieniędzy poszła na dług zaciągnięty w sklepie przed nieszczęśliwym odczytem, resztę zaś zachował joga na swoje potrzeby podczas nieobecności towarzysza. Mając o niego głowę spokojną, druh Jeliński z zapałem szykował się do podróży, nie zdając sobie dokładnie sprawy z niebezpieczeństw, jakie mogły go spotkać w pustyni. Jego przygodni pasażerowie ze swej strony robili zapasy tak obfite, jak gdyby wybierano się do środka Czarnego Łądu, gdzieś nad jezioro Tanganikę. Samochód był wyładowany blaszankami z wodą słodką do picia i puszkami konserw.

Profesor, który myślał tylko o naukowej stronie ekspedycji, zabrał różne przybory do poszukiwań geologicznych, a więc młotki, oskardy, worki na minerały i tym podobne przedmioty. Przygotowania te trwały dni parę. Wreszcie pewnego pięknego poranka, o samym świcie, gdyż w Algierii można podróżować najwyżej do 10-tej rano z powodu nadmiernego upału, wyruszono w podróż do oaz.

Początek tej wycieczki był bardzo przykry, zwłaszcza dla nieoswojonej z drogami afrykańskimi pani Poznańskiej. Auto musiało wspinać się mozolnie po bardzo pierwotnej

szosie, zbudowanej poprzez łańcuch Atlasu Saharyjskiego. Co chwila jechano tu nad głębokimi przepaściami. Podróżni zamykali oczy, ażeby nie dostać zawrotu głowy lub ataku nerwowego.

Profesor, posiadający z natury dość zimną krew, był mocno nieswój i zaczął w końcu cierpieć na chorobę górską. Na wzniesieniu paru tysięcy metrów⁴⁵ nad poziom morza dostał silnego krwotoku z nosa. Pani Poznańska żaliła się na przejściową głuchotę i ból głowy. Jedna tylko Hanka nic sobie nie robiła z przepaści i z rozrzedzonego powietrza, chrupiąc zabrane w drogę karmelki.

Kiedy druh Jeliński minął szczęśliwie jaki niebezpieczny odcinek nad przepaściami, obdarzyła go w nagrodę cukierkiem, który sama wkładała mu do ust. W krytycznych momentach chwyciła drobnymi rączkami za kierowniczkę, sądząc, iż jej interwencja dużo pomagała. Druh Jeliński musiał tolerować tego nieproszonego pomocnika, który w gruncie rzeczy tamował jego swobodę ruchów.

Profesor Czekalski, z barometrem w ręku i mapą na kolanach, śledził trasę przebieganą przez samochód, dając towarzyszom cenne objaśnienia. Przeprowa przez łańcuch górski trwała w ciągłym napięciu nerwów przez cały dzień. Wieczorem dopiero dojechano do przełęczy, z której już droga zaczynała opuszczać się w dół. Niedaleko za nią, w miasteczku francuskim, zatrzymano się na nocleg. Wszyscy byli tą podróżą bardzo wyczerpani, nie tyle fizycznie, ile nerwowo.

Zamiast więc podnieść się na nogi o 4-tej rano, jak to zamierzano, wyruszono w dalszą podróż dopiero przed samą 10-tą, kiedy zaczyna się największy upał. Ma się rozumieć, że pod ostrymi, przenikającymi nawet przez odzież strzałami, wypuszczanymi przez Apollina, nie zdołano długo wytrzymać. Zrobiono niebawem przystanek w cieniu jakiejś skały. Nawet fordzik nie mógł znieść takiej temperatury; powietrze rozgrzane do 40 niemal stopni źle chłodziło silnik, który skutkiem tego ciągle się zagrzewał. Rozbito namiot skautowski pod skałą i przez parę godzin rzucono się, obyczajem miejscowym, w objęcia Morfeusza.

Z przełęczy droga górską prowadzi skrętami coraz bardziej w dół; jest ona dość dobrze utrzymana, ale ruch samochodowy na niej dotąd bardzo słaby. Dlatego też dwaj automobiliści, jadący naprzeciw siebie, zatrzymują się zawsze i pytają jeden drugiego, czy mu czego nie brak. W razie potrzeby dzielą się paliwem, a nawet częściami zapasowymi lub też, stosownie do okoliczności, dają czynną pomoc w reperacjach. Francuzi w tych wypadkach

⁴⁵ Wartość przesadzona, wzniesienia na trasie z Algieru do Bu Saady nie przekraczają 1500 m.n.p.m.

postępują z wielką kurtuazją, cudzoziemiec czuje się więc w przyjaznej atmosferze i to dodaje mu odwagi i pewność siebie.

Na szczęście druh Jeliński, zawsze przewidujący, nie znalazł się ani razu w ciągu całej swej podróży w trudnym położeniu na skutek jakiegoś zaniedbania; za to miał parę okazji do oddania przysługi kolegom sportowym.

Pod wieczór zdołano dotrzeć do pierwszej oazy, która leży poza łańcuchem górskim niedawno przebytych, już wśród pustyni. Po tamtej stronie jeszcze tu i ówdzie można widzieć trochę zieloności i gdzieś tam jakieś źródło tryska spod skały. Po wewnętrznej atoli stronę pasma postać rzeczy od razu się zmienia; całą wilgoć od morza pozostawiamy za sobą, przed nami zaś rozciąga się olbrzymia, nierówna, pokryta piaszczystymi pagórkami, bezwodna pustynia, która ciągnie się na setki mil geograficznych ku południowi aż do rzeki Niger i jeziora Czad. Całe to morze piaszczyste byłoby zupełnie nie do przebycia, gdyby nie rozrzucone po nim wyspy zieleni, czyli oazy. Gdzieś w zagłębieniu gruntu albo na stoku wzgórz tryska spod ziemi ożywcze źródło czystej wody. Dookoła niego rosną palmy, cokolwiek innych drzew i trawa. Ludzie bardzo pracowicie pobudowanymi kanałami starają się sprowadzić wodę na swoje polka. I tak powstaje rodzaj wsi. Każda oaza staje się jakby stacją dla karawan, które na wielbłądach przebywają pustynię. Tutaj można wypocząć w cieniu palm, uzupełnić zapas wody, napoić dromadery, zakupić nieco daktyli, ryżu lub kukurydzy. Na większych i obszerniejszych oazach powstają nawet spore miasta. Większość mieszkańców to Arabowie, rzadziej Kabyle, którzy zajmują się ogrodnictwem i rolnictwem, w przeciwieństwie do Arabów, urodzonych koczowników, żyjących z hodowli koni i baranów, a przy okazji z rozbójnictwa.

Nasi podróżni po raz pierwszy w życiu mieli ujrzeć taką oazę, nic więc dziwnego, że ciekawie rozglądali się dookoła. Bu Saada leży w otoczeniu dość wysokich wzgórz, z których wypływa strumień, poruszający nawet młyn wodny Ferrero. Dostatek wody pozwala na hodowlę drzew daktylowych, figowych, niektórych roślin zbożowych i jarzyn. Słynne są w Algerze i bardzo tanie melony i arbuzy; wszędzie ich pełno. Właściciel plantacji kilkudziesięciu daktylowców uważany jest za zamożnego człowieka. Pozwala on ubogim Kabulom sadzić u stop palm jarzyny; wie bowiem, że ogrodnik musi je dobrze nawadniać, a palma, jeżeli ma rodzić obficie, to musi pióropusz z liści kąpać w słońcu, a stopy w wodzie.

Zakurzeni, znużeni upałem, nasi podróżni zatrzymali się niewielkim arabskim hoteliku; druh Jeliński jednak, musząc pilnować samochodu, a poza tym pragnąc uniknąć niepotrzebnego wydatku, ulokował się pod szopą. Nie mógł jednak z powodu gorąca zaraz usnąć. Noc księżycowa i zapadający chłód nęcił do przechadzki po oazie. Wszyscy czworo,

nie wyłączając małej Hanki, po kolacji wyszli na świeże powietrze, kierując się w stronę pustyni.

Pomiędzy szeregami daktylowców płynęły ujęte w bambusowe rynienki małe kanaliki, przeznaczone do zraszania drzew. Nad nimi siedziało w kucki kilkunastu Arabów, którzy widocznie spóźniwszy się z modlitwą i ablucjami dopełniali teraz dopiero tej ceremonii, przy czym, korzystając z dostatku wody, nie omijali żadnej części swojego ciała. Nie był to widok zbyt budujący dla zwykłego chrześcijanina. Idąc dalej, nasi podróżni zauważyli, że pod drzewami na gołej ziemi czy też na brudnych szmatach leżą prawie nagie dzieci. Widząc zbliżających się cudzoziemców, zrywały się i goniąc za nimi krzykliwie domagały się jałmużny. Pani Poznańska i Hania zaczęły rozpytywać się u nieodstępnie towarzyszącego podróżnym nieproszonego zresztą przewodnika, czyje są te dzieciaki. Okazało się, że są to podrzutki, pozostawione tutaj przez karawany.

W ogóle między Arabami panuje wielka bieda; często się zdarza, że rodzice nie są w stanie wyżywić zbyt licznej rodziny. Na oazie, gdzie bądź co bądź nie można umrzeć z głodu, pozostawiają więc swoje potomstwo na łasce litościwych ludzi. Nikt się nimi właściwie nie zajmuje. Mali nędzarze muszą więc żyć z drobnych usług, okazywanych turystom, z żebraniny, a w ostateczności dopuszczają się i kradzieży. Takich nieszczęśliwych, opuszczonych dzieci na każdej oazie znajduje się nieraz po kilkaset.

W ogóle Arabowie starają się jak mogą wyciągać gotówkę z kieszeni cudzoziemców. Jeden z nich chciał panu Czekalskiemu sprzedać żywego, oswojonego lisa pustynnego. Inny zaofiarował Hance śliczną, małą gazelę. Kiedy druh Jeliński zauważył, że nie wie, co z nią począć w drodze, Arab oświadczył gotowość zabicia zwierzątka na poczekaniu i sprzedania tylko jej skórki i różków. Ale Haneczka, której serduszko oburzyło się na takie barbarzyństwo, zaprotestowała, więc kupno nie doszło do skutku.

Kładąc się spać, każdy przybysz musi baczenie obejrzeć łóżko, czy gdzie pod poduszkę lub pod prześcieradło nie zakradł się skorpion, bo tych nie brak na oazach. Lubią one chować się nocą nawet do trzewików. Trzeba więc przed kładzeniem pończoch i obuwia dobrze je naprzód wytrzepać. Ukąszenie skorpiona, choć nie zawsze śmiertelne, jest bardzo bolesne i niebezpieczne. Sprowadza zawsze silną gorączkę, trwającą kilka dni.

Nareszcie nasi podróżni rozstali się. panie i profesor udali się do swoich pokoi. Druh Jeliński zaś do szopy, gdzie zajął się przygotowaniem sobie pośłania z koców w głębi auta. Nie mógł jednak i teraz usnąć. W pobliżu kwiczały i gryzły się między sobą wielbłądy, nieposkramiane przez śpiących poganiaczy. Chcąc się przyjrzeć „okrętom pustyni”, poszedł

do okólnika⁴⁶. Zaspokoiwszy swą ciekawość, wracał inną drogą. Zauważył pod daszkiem kilkanaście wielkich kuf napełnionych wodą. Była to zbyt wielka pokusa. Druh Jeliński przypomniał sobie o ablucjach Arabów i doszedł do przekonania, że i cudzoziemcy naśladowają ich pod tym względem, ale nie chcąc dokonywać tego publicznie, kąpią się na ustroniu, nie w kanałach, lecz w beczkach, tak jak Japończycy. Nie wiele więc myśląc, zrzucił z siebie odzież i pogrążył się z nieopisaną rozkoszą w chłodnej czystej wodzie.

– Jaka szkoda, że profesor nic nie wie o tym zwyczaju – myślał, szorując się mydłem
– Pewnie sam zażyłby chętnie kąpieli. Biedak musiał poprzestać na umyciu się w niewielkiej miednicy. A tu cała beczka wody!

Po tym już naturalnie spał doskonale. Obudziwszy się rankiem, pobiegł do pokoju profesora Czekalskiego.

– Chce się pan profesor wykapać? – zagadnął.

Uczony nie dowierzał jednak; powiedziano mu bowiem wy radnie, że wody na kąpiel nie ma i że można się umyć tylko w kanalikach, tak jak Arabowie. Kiedy już wszyscy znaleźli się przy stole, profesor odezwał się głośno:

– Cóż to mój druhu, zażartowałaś sobie ze mnie? Tu nigdzie żadnej kąpieli nie ma. Chyba ci się przyśniło.

– Kąpałem się wczoraj wieczór i dziś rano — odparł stanowczo druh Jeliński.

– Gdzie?

– Ależ w beczce i przygotowanej widocznie na użytek podróżnych.

– Gdzie ta beczka stoi? – krzyknęła pani Poznańska blednąc i odsuwając gwałtownym ruchem napoczętą filiżanką herbaty.

– Tam pod szopą. Wieczorem i panią mogę tam zaprowadzić.

– Ładno historia! – zawołał profesor. – Właśnie niedawno pokojówka przyniosła stamtąd wody do picia.

– Ja zaraz powiedziałam, że dziś herbatę czuć mydłem – wtrąciła Haneczka.

– Boże, i ja to piłam! – jęknęła pani mecenasowa .

Chyłkiem wyniosła się do swego pokoju, a za nią pobiegła zaniepokojona Haneczka; okazało się, że „mamie zrobiło się niedobrze”.

Wróciwszy do siebie, pani mecenasowa kategorycznie oznajmiła, że trzeba bezzwłocznie opuścić oazę, gdyż nie ma tu już wody zdatnej do picia. Druh Jeliński, który nie miał czystego sumienia, zabrał się energicznie do przygotowania auta na

⁴⁶ Okólnik – ogrodzona część podwórza bądź pastwiska, przeznaczona dla bydła, owiec lub koni.

najniebezpieczniejszy odcinek podróży. Do Biskry trzeba było przejechać przez zupełnie pustynny, dość rzadko uczęszczany odcinek Sahary i poświęcić na to przy sprzyjających okolicznościach cały dzień czasu. Można było jechać także okólną⁴⁷, pewniejszą znacznie drogą, wracając do Algeru. Nowa przeprawa przez góry nikomu się jednak nie uśmiechała. Postanowiono tedy zaryzykować, chociaż pytani o radą Arabowie kiwali głowami.

Zdanie druha Jelińskiego było tutaj decydujące. Profesor Czekalski zbadał mapy, które go niewiele nauczyły i zagadnął:

– No, jak pan myśli? Przejedziemy czy nie?

Druh Jeliński, który rządził się jak wiemy, piękną, choć niezbyt bezpieczną zasadą: „Zawsze naprzód, nigdy w tył”, zbadał ze swej strony auto, zmierzył ilość benzyny i oliwy, obejrzał opony i rzekł..

– Spróbujmy, panie profesorze. O ile nie zbłądzimy, to za dwa dni najdalej dotrzemy do Biskry.

Zabrano jak najwięcej wody do picia i do chłodzenia motoru, zdjęto maskę, żeby ułatwić wentylację, położono na bak i bańki z benzyną stos mokrych ścierek, wypito na zapas, ile tylko się zmieściło i ruszono śmiało w drogą.

Zaraz za Bu Saadą zaczęły się wydmy piaszczyste. Są to ruchome wzgórza, które wiatr przenosi z miejsca na miejsce. Skutkiem tego na pustyni bardzo trudno się orientować; wszelkie ślady wielbłądów znikają po paru dniach, a nawet godzinach. Tylko sztucznie nagromadzone stosy kamieni służyły za drogowaskazy. Ujechawszy kilkanaście kilometrów, nasi podróżni stracili atoli i tę jedyną wskazówkę; auto znalazło się na bezmiernej równinie, oblanej palącym słońcem – pustej zupełnie. Nigdzie najmniejszego drzewka, krzaczka, nawet kępy trawy. Nad głowami szafirowe niebo, dookoła pustka, przygniatająca ducha.

Na domiar złego piasek ustąpił miejsca ostrym kamieniom, bardzo groźnie przedstawiającym się dla kierowcy auta. Profesor, zbadawszy mapę, oświadczył, że wyprawa znajduje się na najgorszym odcinku drogi, zwanym „śmierć gumom”. Druh Jeliński oczekiwał więc lada chwila katastrofy. Starał się jak mógł wymijać ostre głazy, ale w końcu posłyszał charakterystyczne, suche uderzenia felgi o kamienie. Dowód niezaprzeczony, że powietrze z opony przedziurawionej uciekło.

Trzeba więc było zatrzymać się i zmienić popsutą oponę na zapasową.. Przy tej czynności druh Jeliński dość lekko zresztą uderzył się młotkiem w palec, z którego, ku wielkiemu jego zdziwieniu, trysła krew strumieniem. Profesor Czekalski pocieszał go, że jest

⁴⁷ Okólny – zwykle o drodze, trasie: okrężny.

to objaw w tym klimacie bardzo naturalny; upał zwiększa bowiem cyrkulację krwi i ciśnienie w arteriach. Z drugiej strony w Afryce Północnej rany, gdzie indziej bezwarunkowo śmiertelne, często goją się bez żadnych złych następstw. Najbardziej w bitwie pokiereszowany Arab wraca do zdrowia.

Zreparowawszy auto, posuwano się dalej. Po niejakim czasie atoli druh Jeliński doszedł do przekonania, że się zabłąkał. Nigdzie żadnego śladu drogi; dookoła rozciągała się, jak okiem sięgnąć, pustynia.

Kierowano się tylko busołą i słońcem. W tych warunkach było można atoli minąć o kilka kilometrów w jedną albo w drugą stronę cel podróży i zapuścić się na bezdroża. Te same myśli, jak się pokazało, opanowały i jego pasażerów. Zaczęto przebąkiwać o powrocie, póki jeszcze wiatr nie zawieje śladów auta. Jak jednak rozpoznać ślad przebyty na kamienistej drodze?

Zatrzymano się, ażeby sprawdzić, czy auto pozostawiło za sobą kolej. Okazało się, że nie. Druh Jeliński, widząc zaniepokojenie i łzy swoich pasażerek, kłął się na wszystko, co najświętsze w duszy, że już nigdy nie zabierze ze sobą niewiast.

Z daleka ukazał się na wielbłądzie jakiś Arab. Dawano mu znaki, ażeby się zatrzymał, ale on popędził dromadera, nie zwracając na podróźnych uwagi. Pojechano więc tam, gdzie spostrzeżono z początku jeźdźca. Po jakiejś godzinie przedzierania się przez głązy ostre jak potłuczone szkło, pękła z hałasem druga z kolei opona. Położenie stało się groźne, pozostała bowiem jedna tylko opona nienaruszona.

Można było po takiej drodze, która słusznie nosiła nazwę „śmierć gumom”, potracić wszystkie opony po kolei i reparować je bez końca. Druh Jeliński, poprosiwszy panie, żeby przestały płakać, gdyż ich łzy wytrącają go z równowagi psychicznej, obecnie niezbędnej, zmierzył ilość benzyny, zorientował się jako tako co do kierunku i w końcu oświadczył, że położenie jest wprawdzie poważne, ale nie należy tracić nadziei. Po raz pierwszy od wyjazdu napił się wody. Pani Poznańska troskliwie obliczyła zapasy cennego płynu i przekonała się, że go starczy jeszcze na jeden dzień. Owinęła kierowcy bandażem krwawiący palec i ruszono dalej.

Niebawem strapionym podróźnym uśmiechnęło się szczęście. Zaczęła się lepsza nieco droga; kamienie stawały się mniej ostre i rzadsze, a pod piaskiem ukazywały się kępki trawy, chętnie jadanej przez wielbłądy. Zwiększono wobec tego szybkość. Po niejakim czasie na widnokręgu zamajaczyły sylwetki wielbłądów. Była to cała karawana. Na jej czele jechał na ślicznym koniu Arab, widocznie szejek. Ujrzawszy auto z flagą polską, złożył ukłon, na który mu uprzejmie odpowiedział po arabsku profesor Czekalski, znający dobrze ten język. Po

szejku ukazał się cały szereg wielbłądów juczych. Dźwigały one na grzbiecie różne gospodarskie przedmioty, towary itp. Na najlepszych pod baldachimami siedziały kobiety z dziećmi. Po barwach baldachimów profesor Czekalski potrafił rozpoznać, do jakiego plemienia należeli napotkani Arabowie .

Mężczyźni szli pieszo albo jechali konno. Kiedy najliczniejsza grupa mijała auto, wyskoczył z niej jakiś obdartus, ozdobiony medalem wojskowym. Przywitał się on z podróżnymi łamaną francuszczyzną i zdziwił się niepomierne, kiedy profesor odezwał się doń w jego rodowitym języku. Mowa arabska w ustach cudzoziemca zaimponowała Arabom, zaczęli więc wydobywać z ukrycia stare strzelby z długimi lufami, noże okute w srebro i inne cenne okazy broni. Na piersiach byłych wojaków zaświeciły ordery. Karawana otoczyła samochód. Profesor Czekalski wdał się w rozmowę, ale druh Jeliński wiedząc, że Arabowie w pustyni nieraz dopuszczają się napaści na podróżnych, miał się na ostrożności. Nabił i zarepetował⁴⁸ oba karabiny, trzymając je na kolanach. Na ten widok Arabowie trzymali się w przyzwoitej odległości. Stosunki pokojowe nie zostały naruszone. Dowiedziano się, że fordzik znajduje się niedaleko od Biskry i może tam na wieczór dojechać, trzymając się śladów karawany.

Wobec tego trwożny nastrój zamienił się na wesoły. Łzy od razu obeschły na buzi Haneczki i jej mamy. Zadzwoił srebrny uśmiech. Profesor wysiadł, zabrał swoje instrumenty geologiczne i zaczął badać sąsiednie skały. Walił młotkiem i oskardem, aż iskry leciały. Druh Jeliński przy pomocy pani Poznańskiej zabrał się do przyrządzania posiłku, od wyjazdu bowiem nic prócz wody nie miano w ustach.

Okazało się jednak, że miejsce na postój było źle obrane, gdyż za karawaną ciągnęły w chmurze kurzu niezliczone stada owiec, osłów i wielbłądów, cały majątek plemienia koczowniczego. Otwarte puszkę byłyby się niemiłosiernie zakurzyły. Druh Jeliński, nie widząc innej rady, zaczął strzelać z karabinu w powietrze. Osiągnęło to dobry skutek, gdyż przerażeni poganiacze skręcili w bok, ocalając zagrożoną wieczerzę. Profesor wrócił do auta, dopytując, co się stało. Dźwigał on na plecach dwa worki minerałów, jak twierdził, bardzo rzadkich.

Zdenerwowanie przeszło we wściekły apetyt. Zapasy znikwały z przerażającą szybkością. Druh Jeliński, który nigdy nie chorował na brak apetytu, trzymał w tym koncercie pierwsze skrzypce. Proponował on rozbić namiot i spędzić romantycznie noc wśród pustyni, patrząc w świetnie błyszczące na firmamencie gwiazdy. Niestety, pani Poznańska przedkładała wygodne łóżko hotelowe nad nocleg pod gołym niebem. Chcąc nie chcąc

⁴⁸ zarepetować – przygotować broń do strzału.

musiano zrezygnować z pięknych zamiarów i puszczono się we wskazanym kierunku, korzystając z pozostałych jeszcze paru godzin dnia.

Spotkano po drodze kilka maleńkich oaz oraz licznych Arabów, którzy zapewnili podróżnych, że cel podróży leży niedaleko. Przed samym zachodem słońca ukazała się na widnokręgu wspaniała Biskra ze swymi obszernymi lasami palmowymi i białymi budynkami, tonącymi w różowym morzu poświaty.

Niebezpieczna przeprawa przez pustynię skończyła się szczęśliwie. Pani Poznańska od razu zaczęła się śmiać, zapewniając, że ani na chwilę nie wątpiła, iż dojedzie bez przeszkód, pod kierownictwem tak doświadczonego sportowca. Nawet Haneczka z uporem twierdziła, że nic a nic się nie bała i że chętnie zanocowałyby w pustyni, gdyby nie mamusia.

Profesor Czekalski z dwoma workami „cennych minerałów” na plecach poszedł do swego pokoju, zadowolony z minionego dnia, który dał mu tyle niepospolitych wrażeń.

ROZDZIAŁ XII.

BISKRA. ZYCIE NA OAZIE. FAKIRZY. SKORPIONY.

UROCZYSTOŚĆ ZAPYLANIA PALM DAKTYLOWYCH. MAŁPI WĄWÓZ.

Podróżni nasi zatrzymali się w hotelu „Atlantic”, po europejsku urządzonym, gdzie pozostało wyjątkowo paru Niemców; większość bowiem turystów od paru tygodni opuściła oazę z powodu rozpoczynających się upałów. Był to koniec maja, a lato na Saharze nikogo nie nęci.

Po umyciu się i przebraniu zgromadzono się w sali jadalnej, zamierzając zaraz po kolacji udać się na spoczynek. Dowiedziano się jednak, że tegoż wieczora w dzielnicy arabskiej ma się odbyć interesujące przedstawienie fakira, sławnego hipnotyzer, poskramiacza węzów i kuglarza. Nasze towarzystwo nie mogło się oprzeć pokusie ujżenia czegoś nowego; zwłaszcza Haneczka pragnęła gorąco zobaczyć węże jadowite. Nawet profesor, porwany ogólnym zapałem, zdecydował się iść także.

Przedstawienia tak szumnie zapowiadane odbyło się w szopie udekorowanej flagami arabskimi i dywanami miejscowego wyrobu. Dokoła skrzyni paliły się cztery pochodnie; kilku obdartusów, siedzących w kącie na podwiniętych nogach, wydobywało z piszczałek i cymbałków ostre a zarazem monotonne dźwięki. Publiczność musiała z góry uiścić opłatę za widowisko, co się wszystkim wydało bardzo podejrzany.

Wreszcie zjawił się sam fakir. Orkiestra umilkła, odezwała się natomiast jego piszczałka. Jej przenikliwe tony obudziły snąc⁴⁹ z odrętwienia olbrzymiego węza z gatunku pytonów, drzemiącego na dnie skrzyni, gdyż wypełznął na dywan. Tańczył on najwyraźniej, podług muzyki fakira, podnosząc i opuszczając górną połowę swego ciała okrytego łuską. Fakir zaczął biegać dokoła wyciągniętego węza, który ulegając magnetycznie tym ruchom, zaczął zwijać się w kłębek. W końcu Arab włożył go, niby pęk powrozów, na powrót do skrzyni. Następnie podane mu blaszane pudełko. Kiedy Arab otworzył je, zebrani przekonali się z obrzydzeniem, że było napełnione jadowitymi skorpionami, które porzłaziły się po całym dywanie. Arabowie, nie mówiąc już o Europejczykach, w przerażeniu zaczęli się tłoczyć do drzwi, ale fakir z zimną krwią zbierał gołymi rękami jadowite stworzenia i po kolei kładł je na swoje prawie nagie ciało, drażniąc je przy tym na wszelkie sposoby. Żaden jednak nie ukłuł go żądłem; w końcu fakir powrzucał wszystkie na powrót do pudełka.

⁴⁹ Snąc (lub snadz) – stpol.: widocznie, zapewne, może.

Dalej nastąpiły popisy z ogniem i inne kuglarskie sztuki. Na zakończenie fakir zahipnotyzował jakiegoś chłopaka i wbijał mu w ciało igły, co zresztą dla wtajemniczonych w objawy hipnotyczne nie przedstawiało nic nowego. Ma się rozumieć, że największe wrażenie na naszych podróżnikach uczyniły skorpiony. Ciągłe im się wydawało, że jedno z tych jadowitych stworzeń zakradło się do łóżka, pod kołdrę, poduszkę lub w jaki inny kącik. To podejrzenie spędzało sen z powiek, tak iż całą niemal noc spędzono nie zmrużywszy oka. Na tym punkcie wszyscy byli naprawdę jakby zahipnotyzowani przez fakira.

Rano udano się na zwiedzenie oazy Biskra, która jest jedną z większych i ładniejszych na Saharze. Podziwiano rozległe gaje palmowe, zwłaszcza piękny ogród publiczny, Landon, należący do pewnego bogatego cudzoziemca, gdzie turysta może się napatrzyć wszelkim okazom flory miejscowej.

Na oazie znajduje się dużo budynków publicznych, między nimi dobrze prezentujące się kasyno, kilka hoteli po europejsku urządzonych i kościoły mahometańskie, czyli meczety. Biskra robi wrażenie wielkiego centrum, w którym na zimę zbiera się liczny tłum chorych, szukających w tutejszym suchym i gorącym ulgi na swoje dolegliwości. Ale w maju już tu pusto, każdy wraca na północ w obawie okropnych upałów.

Jest też dużo arabskich sklepów, gdzie można dostać za drogie pieniądze wiele różnych wyrobów, niby to miejscowych, a w gruncie rzeczy pochodzących z Niemiec. Przy tym kupiec arabski naznacza na swój towar cenę kilkakrotnie wyższą i trzeba się z nim długo i zajadło targować, żeby nie dać się oszukać. Dzielnica arabska składa się z szeregow małych domków, przeważnie glinianych. Prócz sklepów turyści znajdą tam liczne lokale rozrywkowe, poczynając od kawiarni, a kończąc na bardzo podejrzanych spelunkach, dokąd bez rewolweru i liczego towarzystwa lepiej nie zaglądać. Można tam za parę franków podziwiać sławny taniec brzucha i inne arabskie popisy choreograficzne, kuglarskie itd.

Arabowie rozpoczynają życie dopiero po zachodzie słońca, kiedy zapanował przyjemny chłód po skwarze. Wszędzie panuje wrzawa nie do opisania; między kramikami włóczą się głodne psy i opuszczone dzieci, napastowane przez roje zjadliwych much, roznoszących choroby oczu (jaglicę). Wszędzie pełno wydrwigroszów, którzy ofiarowują cudzoziemcom swoje usługi. Wszystko to dla świeżego przybysza jest może z początku zajmujące, niebawem atoli budzi w nim niesmak; wszędzie hałas, brud i wyzysk, toteż do dzielnicy arabskiej przybywa się tylko na krótko dla zaspokojenia ciekawości. Cudzoziemiec woli przebywać na szerokich ulicach dzielnicy europejskiej lub oddychać balsamiczną wonią kwiatów w ogrodach hotelowych.

Nazajutrz, odpocząwszy po nocnych wrażeniach w dzielnicy arabskiej, nasi podróżni dali się namówić na przejażdżkę wielbładami. Każdy wziął sobie jednego osiodłanego dromadera. Małą karawaną prowadziło dwóch gidów⁵⁰, a raczej poganiaczy.

Zwierzę wytresowane kładzie się z podwiniętym nogami, ażeby ułatwić podróżnemu zajęcie miejsca na swoim garbie. Wstaje natychmiast, gdy poczuje, że pasażer już usiadł, przy czym najprzód dźwiga się na tylne nogi, potem dopiero na przednie, o czym dobrze wiedzieć jest z góry. Wyrzuca on naraz obie nogi boczne, jak konie zwane inochodźcami⁵¹ i w ogóle konie w Ameryce Południowej. Ruch ten kołyszący dla podróżnego jest bardzo przyjemny.

Zapuszczono się na dromaderach o parę kilometrów na pustynię, żeby zaznać wrażeń podróżującego karawaną. Afrykańskie wielbłądy są jednogarbne i odznaczają się wielką wytrzymałością na trudy. Bajką jest jednak, że w żołądku przechowują zapas wody. Mogą one wytrzymać kilka dni na znoju bez picia. Kontentują się jak osioł, suchą trawą pustynną i ziołami o ostrych liściach, których inne stworzenia nie ruszą. Rasowe dromadery mogą robić po dwieście z górą kilometrów na dzień i mają galop szybszy niż koń arabski. Gdyby nie te wytrwałe stworzenia, wnętrze Sahary byłoby zupełnie niedostępne.

Głównym źródłem pożywienia dla ludzi są tutaj palmy daktylowe, które dają bardzo obfite i pożywne owoce. Wymagają jednak wielkiej pieczołowitości. Trzeba je użyźniać, dobrze nawadniać i, co najciekawsze, sztucznie zapylać. Arabowie przekonali się bowiem, że metoda ta przewyższa znacznie naturalną, zależy od pogody i wielu innych czynników. Na wiosnę, kiedy kwiaty na palmach żeńskich rozwiną się, rozpoczyna się pewnego pogodnego poranka uroczystość zapylania. Na całej oazie panuje niezmacony spokój; spośród pióropuszków liściastych dochodzą pobożne pienia Arabów, dokonywających zapylania. Modlą się przy tej czynności do Allacha o urodzaj tego owocu, który żywi, tak jak u nas zboże, większość tamtejszej ludności. Jeżeli dwa plemiona arabskie wiodą między sobą wojnę, to starają się powycinać palmy męskie, ażeby uniemożliwić zapylanie żeńskich drzew i przez to skazać na wygłodzenie nieprzyjaciela.

Życie na oazie, gdzie mimo wszystko panuje wielka monotonia, a upały rozleniwiają nie tylko ciało ale i umysł, nie przedstawia się dla turysty zbyt interesująco. Po trzech dniach pobytu nasi podróżni udali się przez El Kantarę do Timgadu.

El Kantara jest to malowniczy, długi na kilometr wąwóz, który tworzy naturalne przejście przez pasmo stromych i trudno dostępnych wyniosłości górskich, odgradzających

⁵⁰ Gid – osoba oprowadzająca turystów.

⁵¹ Inochodźce – zwierzęta chodzące inochodem (sposób poruszania się polegający na unoszeniu jednocześnie obu kończyn z jednej strony ciała).

Alger Północny od Sahary, dlatego też nazywają go „Bramą Pustyni”. Miał on podczas walk z Arabami duże znaczenie strategiczne, odbyła się tutaj niejedna krwawa walka pomiędzy krajowcami a wojskami francuskimi. Obecnie przeprowadzono tędy dobrze utrzymaną szosę i drogę żelazną, która prowadzi na południe. Francuzi noszą się z pięknym projektem połączenia Algerii z Nigerią koleją żelazną. W El Kantarze znajduje się niewielki hotelik. Nasi podróżni zatrzymali się w nim na nocleg, a przeglądając księgę meldunkową, zauważyli w niej nazwiska paru Polaków, między nimi profesora Ossendowskiego⁵².

O 100 kilometrów na południe od Konstantyny znajdują się doskonale zachowane i częściowo odkopane przez francuskich archeologów ruiny dużego miasta rzymskiego, Timgad. Sądząc ze szczątków teatru, łaźni i innych budynków, miasto to, z początku niewielkie, z czasem rozrosło się i liczyło zapewne paręset tysięcy mieszkańców. Niezmiernie dowcipnie⁵³ i mądrze urządzonego systemem wodociągów dostarczał miastu wody ze źródeł odległych o kilka kilometrów. Często po sobie następujące trzęsienia ziemi musiały zniszczyć te kosztowne urządzenia i skłonić mieszkańców w siódmym wieku naszej ery do opuszczenia miasta, które od tych czasów popadło w ruinę. Obecnie ruiny miasta Timgad zajmują obszar 130 hektarów. Prawie nietknięte pozostały budynki otaczające forum, czyli rynek, jak np. Pałac Sprawiedliwości, Trybuna Publiczna, Świątynia Zwycięstwa. Niektóre domy prywatne zachowały jeszcze dachy kryte dachówkami. Pod wieloma względami Timgad jest równie ciekawe jak Pompeja.

Zatrzymawszy się kilka godzin w Timgadzie, nasi podróżni wracali bezpieczną już i dobrą drogą przez Konstantynę do Algeru. Zaraz za Konstantyną ujrzano wspaniały samochód marki Renault, a za nim cwałującego na przepięknym koniu Araba, którego wytworny, ozdobiony klejnotami ubiór pozwalał domyślać się bogatego tuziemca. Zagadnął on przyjaźnie mijających go podróżnych po francusku. Wszczęto rozmowę. Okazało się, że był to szejek pewnego plemienia arabskiego, które już osiedliło się na stałe niedaleko Konstantyny. Jego dawny przywódca był obecnie właścicielem pięknych plantacji i willi w pobliżu tego miasta. Poproszono go, żeby pozwolił się zdjąć na koniu. Zgodził się na to, chociaż religia proroka zabrania wiernym portretować się.

⁵² Ferdynand Ossendowski (1876-1945) – polski pisarz, dziennikarz, podróżnik, działacz polityczny, naukowy i społeczny. Podróżował po Kraju Ałtajskim na Syberii, Afryce, Bliskim Wschodzie. Pływał na statkach handlowych do Indii, Japonii i na Sumatrę. Relacje ze swoich podróży publikował.

⁵³ Dowcipny – dawniej: inteligentny, mądry, z pomysłem.

Druh Jeliński zajrzał do wnętrza samochodu, przypuszczając, że jada nim żony szejka, ale był on pusty. *Noblesse oblige*⁵⁴. W myśl tego przysłowia szejk kupił sobie samochód; wołał jednak harcować przy nim na siodle, jak jego przodkowie.

Zaprosił on podróżnych do swojej willi. Był to piętrowy budynek w stylu mauretańskim, istne cacko architektoniczne, pełne drogich kobierców, pięknych, rzeźbionych naczyń i innych przedmiotów; robił jednak wrażenie, że nikt w nim nie mieszka. Szejk zaprowadził swych gości na plantację. Pokazywał i. winnice, częstował winem własnej produkcji i doskonałymi owocami. Kiedy znaleźniono się w ogrodzie otaczającym willę, w cieniu palm daktylowych ujrano namiot zupełnie podobny do tego, w jakim mieszkają Arabowie na pustyni.

Profesor, który doskonale porozumiewał się z Arabem w jego rodzowym języku, wysłuchawszy objaśnień gospodarza, uśmiechał się. Kiedy w końcu pożegnano gościnnego Araba, pani Poznańska zagadnęła, co robił namiot w sąsiedztwie pięknej willi.

– Natura ciągnie wilka do lasu – odpowiedział profesor. Szejk, wzbogaciwszy się, zapragnął mieszkać po europejsku; w tym celu zbudował sobie wspaniałą willę, która kosztowała go, jak sam mówił, z górą milion franków. Przekonał się atoli, że nie może spać pod dachem. Rozbił więc namiot i w nim spędza noce, patrząc w gwiazdy błyszczące nad jego głową. Twierdzi, że tylko w takich warunkach może dobrze sypiać.

– Tak jak z samochodem! – zawołała pani Poznańska, śmiejąc się. – Limuzyna idzie pusta, a szejk przed nią paraduje na swoim arabczyku!

– I po co takiemu pieniądze? – westchnął druh Jeliński, ujmując za kierownicę swego podniszczonego fordzika.

Niedaleko miasta Algeru znajduje się „Wąwóz Małpi”, tak nazwany dla obfitości zamieszkujących go małp różnych gatunków. Zatrzymano się tam na nocleg w małym hotelu, ku uciesze Haneczki.

Podróźni muszą się wystrzegać, gdyż z okolicznych skał i zarośli przybywają liczne rzesze tych zwierząt, które są plagą dla turystów, ale dobrym źródłem dochodu dla hotelarzy, pozwalającym im bezkarnie odwiedzać swoich gości. A odwiedziny te, jak się wnet przekonali nasi podróżni, nie zawsze są pożądane. Tego samego jeszcze dnia pozostawiono niebacznie otwarte drzwiczki od samochodu, gdzie znajdowały się różne zapasy żywności, między innymi owoce i czekolada.

⁵⁴ *Noblesse oblige* (fr.) – szlachectwo zobowiązuje

Kiedy druh Jeliński po obiedzie podszedł do forda, to przekonał się, że w jego wnętrzu gospodaruje sobie duża małpa. Zatrzasnął więc drzwiczki, ażeby schwytać złodzieja. Nie była to jednak bardzo bezpieczna afera, gdyż na naszego podróżnika posypał się grad kamieni z okolicznych drzew, na których siedziały towarzyszeki uwięzionej. Wprawdzie kamienie te były przeznaczone dla naszego skauta, ale jeden z nich zbił szybę, z czego skorzystała zamknięta wewnątrz samochodu małpa. Jednym susem wyskoczyła i uciekła, nie zdradzając zbytnej obawy.

Inne małpy obsiadły dach samochodu i widocznie oswojone z ludźmi nie miały zamiaru zmykać. Bieda turyście, który pozostawi swój pokój otwarty. Wnet dostaną się tam małpy i pokradną wszystko, co im wpadnie pod rękę, nawet przedmioty nie służące do jedzenia. Są to więc bezczelni złodzieje, których utrzymują turyści, bawiąc się ich pociesznymi minami i zręcznymi ruchami. Małpy udają się na noc do swych pieleszy, w góry, ale rankiem z wielkim piskiem i hałasem znów zjawiają się tłumnie przy hotelu i czekają na sposobność, żeby porwać zręcznie spod ręki turyście owoc albo jaki inny smaczny kąsek. Nikt ich nie zabija, więc mnożą się bez przeszkody, ożywiając pustkowia i wprawiając w dobry humor podróżnika.

Powrót do Algeru odbył się już bez żadnych przygód. Druh Jeliński pożegnał serdecznie swych przygodnych pasażerów, którzy dali mu sposobność odbycia tak interesującej wycieczki i zarobienia sporego kawałka grosza.

Joga Smosarski przyjął go z otwartymi ramionami. Znalaziono się w posiadaniu funduszu na dalszą podróż. Wprawdzie opony fordzielca mocno ucierpiały, lecz w ciągu kilku dni doprowadzono je do porządku; poza tym poddano samochód gruntownemu remontowi, i choć z żalem, lecz musiano wydać sporo pieniędzy na nowe łożyska i pierścienie tłokowe. W parę dni po powrocie z oaz pożegnano się z nieliczną kolonią polską. Niektórzy spośród rodaków przyrzekli wyprawie pomóc w przeprawie do Ameryki, skończyło się jednak na obietnicach. Zabrano ze sobą parę listów polecających do większych firm handlowych i w odświeżonym wozie śmiało puszczono się w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ XIII.
ORAN. GOŚCINNOŚĆ ARABSKA. ŻYWY PODARUNEK. FEZ. CASABLANCA.
NA OKRĘT.

Z Algeru szosa malowniczo wiedzie wzdłuż wybrzeża morskiego. Po prawej stronie z dala. poza wzgórzami, okrytymi przez lasy i plantacje, błyszczą tafle wody błękitnej; po lewej zaś wznoszą się strome stoki Gór Atlasu, którego wierzchołki sięgają do linii wiecznych śniegów. Pasma to zatrzymuje wilgotne wiatry morskie, dzięki czemu jest na swych stokach północnych obficie zraszane; stąd świeżość i obfitość wegetacji oraz urodzajność gleby. Zaś w Marokku Atlas ustępuje daleko w głąb lądu.

W Oranie przede wszystkim udano się na pocztę. Zamiast jednak spodziewanych listów znaleziono tylko parę numerów gazet wysłanych przez harcerstwo. Był to bolesny cios moralny dla wyprawy! A więc tak prędko zapomniano o naszych podróżnikach! Nawet najbliżsi!...

Połykając gorzką ślinę, nasi skauci udali się z polecając listem do firmy arabskiej, handlującej smarem do samochodów. Właściciel, poważny Arab, załatwiwszy interes, bacznie przyglądał się podróżnikom, jakby chcąc zbadać, z kim ma do czynienia. Widocznie ten przegląd wypadł dla naszych skautów dodatnio, gdyż kupiec zagadnął ich, czy mają gdzie przenocować. Dowiedziawszy się, że chcą rozbić namiot pochodowy, zaprosił ich do swego domu, leżącego na skraju miasta w dzielnicy arabskiej.

Wprowadzono ich przez wąskie drzwi wejściowe na mały dziedzińczyk, w którego ośrodku tryskała w górę fontanna, otoczona kwitnącymi roślinami. Na dziedzińczyk wychodziły izby, leżące jedna przy drugiej i mające wejścia pozasłaniane makatami. Do jednej z takich izb Arab zawiódł swoich gości i posadził ich na poduszkach, leżących wprost na kobiercu, przy niskim stoliku.

Była to sala gościnna i jadalna. Gospodarz, pomodliwszy się, klasnął w dłonie i ukazała się na progu Murzynka, niosąc coś w rodzaju trybularza, którym okadziła izbę. Potem, kiedy wszyscy zasiedli koło stolika po turecku, to jest z podwiniętymi nogami, inna służebna wniosła kuty ręcznie z miedzi półmisek, napełniony ulubioną potrawą arabską, to jest baraniną, ugotowaną z ryżem i dobrze zaprawioną korzeniami.

Arab naprzód wziął palcami i spróbował sam „pilawu”, potem nakładał sporo na talerzyk i podawał po kolei swoim gościom, w końcu sobie. Jedzono w głębokim milczeniu. Na drugie danie przyniesiono dużo smacznych owoców, ciasteczka z ryżu, a na zakończenie

kawę czarną, ugotowaną w miedzianych filiżankach na rozżarzonych węglach. Chociaż było w niej pełno fusów, to jednak miała piękny aromat. Sam gospodarz pił gorzką, ale gościom kazał podać cukru.

Ten pierwszy obiad, jaki nasi podróżni spożyli pod dachem arabskim, byłby może niezły, gdyby nie to, że gospodarz posługiwał się, zamiast noża i widelca, palcami, które umył wprawdzie, ale dopiero po uczcie. Po deserze podano bowiem wodę w miedzianych miseczkach i ręczniki do otarcia rąk. Arab spalił długą fajkę na cybuchu, gościom zaś, którzy nie używali tytoniu, zrobił przyjemność w ten sposób, że kazał ich obficie zlać wodą kolońską, czego dopełniła aż nadto sumiennie niewolnica murzyńska.

Podziękowano Arabowi zwyczajem miejscowymi dotykając palcami najprzód czoła, potem przykładając do ust, a w końcu, szerokim gestem chwytając się za serce, przy czym należy składać jak najniższe ukłony.

Wyszędłszy, nasi skauci wyglądali jakby ich kto wyciągnął z beczki z kolońską wodą, niestety, nie najlepszej marki.

W Oranie podróżni zetknęli się z miejscowymi skautami, którzy naszą nazwę „éclaireurów⁵⁵”. Chcieli cni ofiarować swym polskim kolegom jakąś pamiątkę na drogę. Nie można było narażać poczciwych chłopaków na wydatek, więc druh Jeliński, naglony pytaniami, czego by sobie życzył, oświadczył, że pragnie mieć małego pieska.

Wieczorem zgromadzono w domu pewnego księdza, który patronował skautom, kilkanaście różnej rasy psów, poczynając od maleńkich parotygodniowych, a kończąc na dorosłych. Spomiędzy całej tej psiej czeredy druh Jeliński wybrał niepozornego, jeszcze niedołęznego mieszańca, kundla z foksem, czy coś podobnego. Był to w każdym razie pies urodzony pod niebem afrykańskim. Druh Jeliński zauważył jakiś spryt w jego oczach i to zadecydowało o losie szczeniaka, który niesiony w kapeluszu dostał się do auta i tam już na długo miał się zakwaterować. Uzyskano więc miłego towarzysza a zarazem czujnego stróża, bardzo pożądanego w podróży. Miał on najwyżej trzy tygodnie i wymagał dobrej opieki.

Druh Jeliński czuł potrzebę przywiązania się do jakiejś żywej istoty i szybko przelał swoją miłość na tego afrykańskiego kundelka, który mu potem miał osładzać samotne chwile. Gorliwie zabrał się do wychowania swojego ulubieńca. Kupował nieraz za ostatnie pieniądze dla niego mleko albo jakiś inny przysmak, uczył go najprymitywniejszych rzeczy, spał razem z nim w aucie, nie rozstając się ze swym wychowawcą ani na chwilę.

⁵⁵ Éclaireur (fr.) – harcerz.

Joga Smosarski miał teraz na głowię sprawy gospodarcze; sam udawał się na targ celem zakupienia żywności. To ciągle stykanie się z brudnymi i chorymi Arabami niebawem pociągnęło dłoń bardzo niepożądane następstwa. Biedak zaczął się uskarżać na ból oczu. Istotnie powieki miał mocno zaczerwienione i nie mógł znosić blasku słońca.

Z Oranu droga, zdane dla aut, oddala się od wybrzeża morskiego w głąb Marokka. Kiedy nasi podróżni tam przybyli, toczyły się jeszcze walki między wojskami francuskimi a plemionami marokańskimi, które nie chciały złożyć broni. W walkach tych wielką rolę odgrywała słynna Legia Cudzoziemska, składająca się z awanturniczych elementów wszystkich narodowości świata. Nasi skauci, przejeżdżając przez Tlemcen, dowiedzieli się, że stacjonuje tam kadra legii. Dowodzący generał dał im za przewodnika podoficera Polaka, w którego towarzystwie udano się do koszar.

W legii zawsze można napotkać rodaków. Znajdują się między nimi ludzie różnego pokroju; tacy, którzy nie lubią wspominać o swej przeszłości, gdyż mają jakieś poważne grzechy na sumieniu i tutaj po prostu szukają przytułku, jak ciągle tropione przez ogary wilki; inni zaś, bardziej lekkomyślni niż występni, którzy pędzeni żyłką do przygód i podróży tak jakos dostali się tutaj, a raz podpisawszy kontrakt, muszą przez dziesięć lat służyć w oddziale, który odpowiada mniej więcej rotom⁵⁶ aresztanckim.

Nikt tu ich nie oszczędza, posyłają ich na pierwszy ogień; a kiedy już przetrzebiony oddział udaje się na wypoczynek, to każą żołnierzom pracować nad budową dróg strategicznych w nieznośnych wprost warunkach i w klimacie zabójczo gorącym. Nic więc dziwnego, że służbę w legii nie każdy ukończy. Jeżeli jednak wytrzyma tę ciężką próbę, to w końcu zostaje obywatelem francuskim, a raczej obywatelem Afryki Północnej, otrzymuje kawałek ziemi i może oddawać się pracy na doli.

Kiedy po koszarach gruchnęła wieść, że przyjechali rodacy, zebrało się kilkunastu legionistów, pytając o nowiny z kraju. Niektórzy z nich z początku odzywali się butnie, z pewną nutą żalu do Ojczyzny, jakby mieli do niej pretensję o to, że musieli ją opuścić. Ale kiedy zaczęli słuchać opowiadania przybyszów, kiedy zaleciał ich świeży wiew⁵⁷ ojczystych, kiedy dowiedzieli się o bolesnych przejściach starego kraju, siłą woli tłumiona tęsknota trysła z tych zahartowanych, nieraz występnych piersi i łza słodka, łza miłości dla Ojczyzny spłynęła po niejednej twarzy pooranej bliznami.

⁵⁶ Rota – dawna polska jednostka piechoty zaciężnej licząca do trzystu żołnierzy.

⁵⁷ Niwa – pole, ziemia uprawna.

Żegnano się uściskami dłoni. Oni mieli przed sobą długie jeszcze lata obcej i ciężkiej służby, a nasi skauci pół świata; ale mimo to wszyscy zarówno wyrazili nadzieję, że spotkają się koniec końcem tam, w dalekiej Ojczyźnie.

Generał dowodzący kadrą, wpisawszy się do księgi pamiątkowej, radził naszym podróżnym, żeby ostrożnie posuwali się na terenach objętych jeszcze przez powstanie i przy każdej sposobności zasięgali informacji na placówkach wojskowych. Stosując się do wskazówek generała, podróżni zgłaszali się od czasu do czasu do mijanych posterunków, gdyż wiedzieli, że wojna z powstańcami toczy się bez ustanku, chociaż większa część plemion poddała się już władzy francuskiej. Chodziło o to, żeby przypadkiem nie dostać się na teren walk, który przenosił się ciągle z miejsca na miejsce.

Oddziały francuskie tropiły Marokańczyków w pustynnych górach, ci zaś prowadzili walkę podjazdową, na wzór indyjski, starając się zniecka napadać na słabe posterunki francuskie, unikając starcia z przeważającymi siłami. Chociaż w zasadzie wojna ta, prowadzona przez Marokańczyków pod hasłem oswobodzenia od najeźdźców ojczyzny, była sympatyczną dla naszych skautów, to jednak z drugiej strony nie można było sobie życzyć, żeby barbarzyńskie hordy znowu zapanowały nad tą rozległą krainą, do której już Francuzi wnieśli wiele porządków europejskich.

Kierowano się na zachód, pragnąc poprzez miasto Fez dotrzeć do portu Casablanca i tam poszukać sobie przeprawy do Ameryki. Okazało się jednak, że przeprawa przez kraj górzysty, pustynny, mający drogi tylko wojskowo-strategiczne i objęty działaniami wojennymi, nie stanowi łatwego i bezpiecznego zadania. Każda niemal placówka ostrzegała naszych podróżnych, żeby broń Boże nie zatrzymywać się na nocleg w pobliżu jakiegoś koczowiska arabskiego, gdyż grozi to niezawodnie napadem rabunkowym i śmiercią.

Starano się więc trzymać z dala od wszelkich ludzkich siedzib. Codziennie niemal na wojskowych posterunkach słyszano opowiadania o różnych krwawych przygodach. Na jednym z nich oficer stanowczo nie pozwolił naszym skautom zaraz jechać.

– Zatrzymajcie się do jutra – rzekł. – Właśnie wczoraj wyprawiliśmy dwa auta wojskowe na rekonesans i do tej pory nie mamy o nich żadnej wiadomości.

Musiano się więc zatrzymać. W obecności naszych chłopców komendant placówki wysłał na szybkich wielbłądach kilku ludzi dla zasięgnięcia języka o rekonesansie. Wieczorem dowiedziano się, że jakaś karawana idąca od Tangeru z północy napotkała owe auta, a będąc widocznie przekonana, że jest to pościg za nią, zaczęła się za wzgórkami piaszczystymi i wystrzelała w autach niespodziewających się zasadzki żołnierzy, nim ci zdążyli zrobić użytek z broni.

Wobec takich wieści druh Smosarski upadł nieco na duchu i nalegał na kolegę, żeby wracać do Oranu i stamtąd depeszować do domu o pieniądze, które umożliwiłyby powrót do Polski. Druh Jeliński jednakże, który wyznawał piękną zasadę, że nie należy się cofać przed żadnym niebezpieczeństwem, jeżeli się chce osiągnąć cel wytknięty, odrzucił stanowczo te podszepty. Wykombinował on sobie, że niebawem sytuacja musi się wyjaśnić, gdyż na wszystkie strony porożsyłano rekonesanse. Jakoż nazajutrz żaden z nich nie doniósł, żeby nieprzyjaciel znajdował się w pobliżu.

Karawana, obciążona zapasami żywności dla wojsko, miała ruszyć w drogę. Rozgłaszano o tym na wszystkie strony w nadziei, że owi rabusie, którzy napadli na auta, skuszą się dużą zdobyczą. Natrafiliby atoli na oddział doskonale uzbrojony. Była to więc pułapka. Pod osłoną tej karawany dość szybko poruszającej się w kierunku Fezu nasi podróżni pojechali dalej. Minawszy niebezpieczniejsze okolice razem z wojskiem, fordzielec pomknął szybko do Fezu. Jest to miasto bardzo obszerne, a właściwie dwa miasta oddzielne; jedno czysto arabskie, drugie, obok położone, europejskie.

Fez nosi charakter wybitnie wschodni; składa się z wielu wąskich uliczek, po których zaledwie objuczony osioł lub wielbłąd zdoła się przecisnąć. Budynki niewielki, białe, o płaskich dachach, zamieszkuje ludność licząca paręset tysięcy dusz. Jest tam dużo pięknych meczetów i pałac sułtana. Ponad jezdniami ulic znajdują się porozpinane na plecionkach z gałęzi winne macice, których dojrzewające grona zwieszają się nad głowami przechodniów. Urozmaica to monotonię wąskiej uliczki i co najważniejsze daje osłonę przed palącymi promieniami słońca.

Fez wziął, jak się zdaje, swoją nazwę stąd, że wyrabiają w nim dużo muzułmańskich nakryć głowy, zwanych fezami⁵⁸.

Środkiem miasta płynie rzeka Subu, której wody służą do zraszania licznych ogrodów. Stąd powietrze bardziej wilgotne i obfitość wszelkiego rodzaju owoców, pomiędzy których najsmaczniejsze chyba są olbrzymie, słodkie i pachnące arbuzy. Są one tak tanie, że druh Jeliński za pustą bańkę od oliwy otrzymał aż pięć do sześciu sztuk. Trudno było taki ładunek samemu zabrać na plecy! Dzięki uprzejmości dyrektora oddziału Vacuum Oil Company, nasi skauci otrzymali za przewodnika Francuza, mówiącego po arabsku, który ich oprowadził po tym wielce oryginalnym mieście.

Przybyszowi zdaje się, że nagle przeniósł się w odległą epokę biblijną: widzi bowiem dookoła siebie iście patriarchalne postacie poważnych Arabów, o czarnych jak węgiel

⁵⁸ Fez – nakrycie głowy o kształcie przypominającym ścięty stożek, wykonane z bordowego filcu i ozdobione czarnym frędzlem.

brodach i płomiennych oczach; są oni odziani w długie, białe burnusy, mają sandały na nogach, a głowy owinięte w barwne turbany; kobiety chodzą z zasłoniętymi twarzami, tak iż przechodzień spostrzega tylko wlepione weń ciekawe oczy.

Dzieciaki, których wszędzie pełno, chodzą prawie nago, są niezmiernie żywe, hałaśliwe, naprzykrzone, no i jak zwykle na wschodzie, niemiłosiernie brudne. Pośród przekupniami na rynku, a także właścicielami większych sklepów, można często zauważyć wybitnie semickie rysy. Kobiety żydowskie nie mają jak Mahometanki zasłoniętej twarzy.

Arab za dnia przechadza się po ulicach, załatwiając interesy, w południe odbywa sjęstę, wieczorem zaś odpoczywa, nasycając się przyjemnym chłodem. Przed samym zachodem słońca, na głos duchownego, rozlegający się z wieży najbliższego meczetu, każdy Arab, gdziekolwiek by się znajdował, odmawia modlitwę wieczorną z twarzą odwróconą w stronę miasta Mekki. Przy czym obrządek mahometański nakazuje dokonać przepisanych obmywań. Arab dąży więc do najbliższej fontanny, do źródła, a w braku wody obmywa się wprost piaskiem.

Nasi skauci mieli sposobność dobrze przyjrzeć się nie tylko samemu miastu, zwiedzić meczety, stare fortyfikacje itd., ale poznać też obyczaje mieszkańców. Było im tylko bardzo przykro, że nie mogli tam spotkać żadnego Polaka. Czuli się więc bardzo obco w Fezie. Po paru tedy dniach, zaopatrzywszy się w materiały pędne, ruszono do Casablanki.

Podróż stawała się coraz przykrejsza., gdyż opony znajdowały się w opłakanym stanie. Co kilka kilometrów pękała kieszka, trzeba było zdejmować koło i na skwarze dokonywać zmuszonej reparacji. Druh Smosarski twierdził, że na tak zdezelowanym fordzielcu daleko się nie zajedzie i chętnie zapewne wróciłby do domu, zwłaszcza, że oczy dokuczały mu coraz bardziej. Nie było pieniędzy, ażeby zasięgnąć porady lekarskiej; leczyl się więc domowymi środkami. Apteka profesora Bujwida bardzo się tutaj przydała. Ale niestety, choroba robiła postępy.

Wyjechawszy z Fezu, nasi skauci byli świadkami bardzo przykrew sceny, która oburzyła ich kulturalne instynkty. Na drodze ujrano wielki tuman kurzu. Zdawało się na razie, że Arabowie pędzą stado bydła. Ale wprędce nasi podróżni przekonali się, że tu dzieje się coś bardzo niezwykłego; na czele tłumu, złożonego z kilkuset mężczyzn i niewiast uzbrojonych w kije, kamienie, a nawet noże, biegła jak szalona, obnażona kobieta; jej obłąkane z przerażenia oczy i rozrzucone w nieładzie włosy od razu pozwalały się domyśleć, że nieszczęśliwa szuka ocalenia w ucieczce przed swymi prześladowcami.

Cały ten rozhlukany, dziki, roznamiętniony tłum minął auto w pędzie, nie zwracając nań uwagi. Dopiero po kilku chwilach nasi skauci dowiedzieli się, że to był sąd nad niewierną

żoną. Zwyczajem miejscowym kobietę przekonaną o wiarołomstwo wypędzają z rodzinnego szczepu w pustynię, gdzie powinna zginąć z głodu, pragnienia, od zbójów lub dzikich bestii; w razie gdyby dała się dogonić, to współplemieńcy bez litości ukamienowaliby ją, albo zabili kijami. Nic więc dziwnego, że kobieta, wiedząc jaki los okrutny ją czeka, dobywała wszystkich sił, ażeby wymknąć się swoim katom.

Nasi podróżni patrzyli przez chwilę na ten pościg barbarzyński, który przypominał im, że się znajdują nie w Europie, lecz w głębi Maroka. Nie chcąc doczekać końca tych łowów na człowieka, druh Jeliński poddał gazu i za chwilę i za chwilę cały ten tłum rozbestwiony zniknął w tumanach kurzu, podobnego do wielkiej, złotej chmury.

Aucik, prowadzony energiczną ręką, zdołał wreszcie prześliznąć się szczęśliwie przez obszary, objęte działaniami wojennymi i nasi skauci znaleźli się na zachodnim krańcu swej drogi po kontynencie afrykańskim. Obecnie oczekiwało ich bardzo trudne zadanie. Leżał na ich szlaku olbrzymi Atlantyk, przez który należało za wszelką cenę przepawić się do Ameryki. A tutaj kasa wyprawy była niemal zupełnie pusta.

Nasi skauci nie zawahali się ponieść najprzykrzejszej ofiary, żeby zdobyć fundusze na karty okrętowe. Na każdym większym posterunku wojskowym sprzedawali oni cenniejsze przedmioty i poszły między oficerów francuskich porządne koce, pozostał tylko jeden i to najgorszy. Ten sam smutny los spotkał maszynę do pisania, radio, z którym rozstawano się z żalem, buty zapasowe, słowem pozbywano się wszystkiego, bez czego w ostateczności można było się obejść, byle tylko zgromadzić nieco gotówki.

Casablanca, portowe miasto nad Atlantykiem, rośnie jak na drożdżach, dzięki energii Francuzów, którzy uczynili je w ciągu krótkiego czasu dość ważnym punktem handlowym. Pobudowali nowożytnie domy, banki, giełdę, fortyfikacje, słowem zapadły kąt pod ich panowaniem staje się widną placówką kultury europejskiej.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w Casablanca świeżo otworzyła swój kantor znana światowa firma, wyrabiająca opony do samochodów, „Goodyear”⁵⁹. Zarządzający przyjął naszych skautów z otwartymi rękami, gdyż jak się pokazało przebyli oni na gumach nie zmienianych teje firmy z górą 20.000 kilometrów, z czego na samą Afrykę przypadło kilka tysięcy. Zwłaszcza ciężką próbą była wspomniana droga na pustyni, zwana „Mort du Pneux”. Było to więc znaczną reklamą dla teje firmy. Wytrzymałość opon przez nią wyrabianych rzucała się w oczy, toteż fordzik, w dobrze pojętym przez dyrektora interesie

⁵⁹ W wydaniu książkowym z 1946 roku podano nazwę: Gudir.

firm, otrzymał dwie nowe zupełnie opony na tylne koła. Druh Jeliński był, jak to się mówi, w siódmym niebie, gdyż właśnie łamał sobie głowę, jak zastąpić zużyte doszczętnie opony.

Zabrane też zapas paliwa z firmy Vacuum Oil Company, której zarządzający także odnosił się z wielką przychylnością do podróżników.

Ponieważ dyrektorowie znali wielu kapitanów okrętów, z którymi znajdowali się od dawna w stosunkach handlowych, przeto zaczęli się energicznie starać o znalezienie statku, który by za niedużą opłatą zabrał naszych skautów i ich fordzika do Ameryki.

Po dość długich zabiegach udało się im wreszcie znaleźć kapitana amerykańskiego, który zgodził się przewieźć auto zupełnie bezpłatnie przez Atlantyki, a od każdego z naszych skautów żądał jedynie po 80 dolarów, co było względnie tanio z uwagi że przeprawa na luksusowym parowcu drugą klasą kosztuje prawie dwa razy tyle. Niestety w kasie nie było i tej skromnej sumki. Wyteżone więc dowcip, żeby jakoś zdobyć trochę pieniędzy. Pozostały jeszcze rewolwery, które sprzedano w końcu instruktorom skautowskim.

Zetknięcie się ze skautami marokańskimi bardzo było owocne dla wyprawy, urządzono bowiem dla nich propagandowy odczyt z przezrociami o odbytej już podróży, który zgromadził dość liczną publiczność. Wywdzięczając się za to, druhowie marokańscy (Francuzi) ofiarowali naszym podróżnikom pewną ilość konserw na drogę.

Ponieważ jednak życie na okręcie było już opłacone, przeto nasi podróżnicy sprzedali część otrzymanych zapasów i dzięki temu uzupełnili sumę żadaną za przeprawę. Poczawszy już karty okrętowe w kieszeni, nabrali lepszego usposobienia. Złożono wizytę marokańskim automobilklubie, który potwierdził kilometraż i ofiarował naszym skautom swoją odznakę.

Przekonywano się teraz na każdym kroku, że im dalej wyprawa znajdowała się od ojczystego kraju, tym większym cieszyła się autorytetem wśród obcych. Bez mała 30.000 kilometrów, które pozostawiono za sobą, robiły już pewien efekt. Automobiliści marokańscy żegnając się, zapewniali naszych skautów, że niebawem dostaną się na najlepsze drogi świata i że już w ciągu dalszej podróży nie będą potrzebowali zmieniać opon.

Zbliżało się obchodzone uroczyste przez wszystkich Francuzów święto narodowe w dniu 16 lipca. Wojska francuskie, stacjonujące w okręgu Casablanca, odbyły wielką rewiew, w której wzięły udział niezliczone tłumy widzów, nie tylko pośród Francuzów, ale i Arabów.

Druh Jeliński, chcąc przyjrzeć się także defiladzie wojskowej, zatrzymał się ze swym aucikiem akurat na drodze, którą przechodziły zastępy dowodzone przez generała dywizji, pana Z. Morelliego. Generał, ujrawszy w tym zapadłym kraju afrykańskim flagę polską, zdziwił się niezmiernie, co tu robią Polacy. Salutował im, mijając auto z flagą polską, po czym zaraz przysłał przez swego adiutanta kartą wizytową. Na skutek tego nasi podróżni

udali się do jego kwatery, gdzie byli przyjęci bardzo gościnnie. Generał niejednokrotnie napomynał o przyjaźni łączącej Francję z Polską i zadawał różne pytania swoim gościom, na które chętnie mu odpowiadano. Zwłaszcza interesowały go świeże przewroty polityczne w Polsce.

Nasi skauci przy okazji sprostowali wiele niezupełnie zgodnych z rzeczywistością poglądów generała, starając się przy tym przedstawić Ojczyznę w najlepszym świetle. Dowódca okazał się prawdziwym przyjacielem Polski i wpisał się bardzo serdecznie do księgi pamiątkowej. Pozwolił się też sfotografować i rozstano się w jak najlepszych stosunkach.

Zaraz nazajutrz zaczęto przygotowania do podróży morskiej. Aucik wpakowano na mały statek, a z niego dopiero przy pomocy żurawia wciągnięto go na pokład przewozowego parowca amerykańskiego „Sinsinnawa”, na którym miano przepłynąć przez ocean,

Naszych chłopców w gremialnie odprowadzili na statek skauci marokańscy. Komendant drużyny skautowskiej wręczył im dyplomy, mianującego honorowym naczelnikiem zastępu „Gazelli”, a Smosarskiego „Bociana”. Znalazłszy się na pokładzie, udali się oni wszyscy razem do kapitana okrętu i oświadczyli mu solennie, że powierzają mu opieką nad swymi braćmi, polskimi skautami, którzy pod flagą polską mają zamiar okrążyć kulę ziemską. Wzniesiono na jego cześć potrójny okrzyk skautowski, co starego wilka morskiego wprawiło w doskonałe usposobienie. Uściskał dłonie swych gości z takim serdecznym uniesieniem, że ci o mało co nie przyklękali z bólu. Potem powitał naszym skautów i oświadczył im, że mogą liczyć na jego opiekę.

Statek podnosił kotwicę, drużyna skautowska zabierała się do opuszczenia pokładu. Kiedy już znajdowała się w szalupie, wzniosła jeszcze jeden pożegnalny okrzyk, który brzmiał dość dziwnie, ale zrobił wspaniały efekt, gdyż wyrwał się z dwudziestu młodych i silnych piersi „A dzi dzi, a dzi dzi! A-u-a! A dzi dzi, a-u-a! Bim bum ba a-a!”

Tak się rozpoczęła podróż przez Ocean Atlantycki.

ROZDZIAŁ XIV.

„SINSINNAWA”. ZAGADKOWI ARABOWIE. WSZĘDZIE POLACY. PRZEPRAWA PRZEZ ATLANTYK. ORANEK OTRZYMUJE MAMKĘ.

Okręt, na który nasi podróżni zdołali się dostać na takich dobrych warunkach, należał do „American Export Line”. Miał on sześć tysięcy ton pojemności i służył specjalnie do przewożenia towarów. Pasażerów brał tylko wyjątkowo, nie było też na nim tego luksusu, jaki spotyka się tak często na wielkich pakebotach⁶⁰, kursujących między dwiema częściami świata. Jednakże znajdowało się na nim parę kajut i w jednej z nich, mającej cztery koje, umieszczono naszych podróżnych.

Statek wiózł do Stanów ładunek korka i owoców afrykańskich. Nie był to towar zbyt ciężki, toteż pomimo balastu parowiec nie zanurzał się dość głęboko, a kiedy zadął silniejszy wiatr, niemiłosiernie tańczył po grzbietach bałwanów, kołyszac się wzdłuż i w poprzek. Nie było to zbyt przyjemnym dla przygodnych pasażerów, choroba morska zaczęła więc grasować nagminnie.

Kiedy nasi skauci udali się do kajuty, przekonali się z przykrością, że razem z nimi jadą dwaj Arabowie. Ludzie ci, odziani w kostiumy noszone w Afryce Północnej, rozmawiali między sobą po arabsku, którego to języka niestety ani druh Jeliński ani joga Smosarski nie znali wcale. Sytuacja była więc krepująca. Na szczęście okazało się, że dwaj Arabowie znają także język francuski. Dzięki temu nasi skauci mogli się ze swymi towarzyszami podroży jako tako porozumieć.

Z początku jednak Arabowie nie kwapili się zbytnio do rozmowy. Brali oni, jak się pokazało, naszych skautów za żołnierzy amerykańskich i widocznie nie chcieli się przed nimi wywnętrzać. Tak upłynęło kilka dni, podczas których stosunki z Arabami były pełne rezerwy z obu stron.

Aliści pewnego razu druh Jeliński, wchodząc do kajuty z pokładu, usłyszał, że domniemani Arabowie mówią do maleńkiego Orana (tak bowiem zwał się piesek druha) po polsku, robiąc mu w tym języku wyrzuty za nieporządek, jakiego się dopuścił pod łóżkiem. Można sobie wyobrazić zdumienie naszych podróżnych.

– Skąd panowie nauczyliście się po polsku? – zagadnął druh Smosarski.

⁶⁰ Pakebot – parowiec (fr. paquebot).

Na razie Arabowie byli bardzo zmieszani tym odkryciem. Nie tracąc jednak miny, jeden z nich rzekł tajemniczo:

– My wiemy już, że mamy do czynienia z bardzo porządnymi ludźmi i w dodatku z rodakami. Nie będziemy więc dłużej ukrywali, że chociaż mamy obywatelstwo północnoafrykańskie, to jednak pochodzimy z Polski. Ja jestem z Warszawy, mój przyjaciel zaś ze Lwowa. Od dawna staraliśmy się dostać do Stanów Zjednoczonych. Wiadomo jednak, że Amerykanie nie chcą mieć u siebie za dużo Polaków, zwłaszcza pochodzenia mojżeszowego, toteż nie uwierzycie panowie, jak trudno dostać wizę do tego kraju. Czekaliśmy rok cały nadaremnie. Cóż było robić?

Pojechaliśmy jako agenci pewnej czeskiej firmy do Afryki francuskiej i spędziliśmy tam dwa lata, co zupełnie wystarcza, ażeby uzyskać obywatelstwo północnoafrykańskie. Dla Marokka nie ma żadnych kontyngentów emigranckich, dano więc nam wizę, o którą daremnie staraliśmy się w Polsce. Jak pan widzi trafiła kosa na kamień. Teraz już wszystko w porządku. Mamy legalne paszporty jako Marokańczycy. Prosimy jednak panów na wszystko o dyskrecję, bo jakby się Amerykanie o tym dowiedzieli, to mogliby nas nie wpuścić.

Nasi chłopcy chętnie przyrzekli milczenie w tej drażliwej sprawie. Wywdzięczając się im za to, Arabowie pochodzenia polskiego byli dla nich uprzedzająco grzeczni.

Najbardziej dawała się im we znaki nie sama żegluga, ale kuchnia okrętowa. Należy przyznać, że mieli co do tego rację, żywiono bowiem załogę i podróżnych przeważnie konserwami z puszek, co na dłuższą metę jest bardzo szkodliwe dla zdrowia i całkiem odbiera apetyt. Świeżego mięsa ani jarzyn nie podawano wcale. Gdyby nie kompoty z suszonych owoców, to taki stół na pewno pociągnąłby za sobą szkorbut.

Jeden tylko druh Jeliński znosił bezkarnie ten reżim, dzięki temu zapewne, że miał z natury strusi żołądek. Zwłaszcza używał sobie w dni burzliwa, bo wtedy Arabowie nabierali zdecydowanego wstrętu do wszelkiego jadła. Druh Jeliński tłumaczył im, że podczas kołysania nie dobrze jest jeść, bo torsje stają się silniejsze i mogą bardzo źle się skończyć. Przerażeni tym Arabowie wyrzekali się chętnie swoich obiadów na rzecz druha Jelińskiego, a joga Smolarski, sam będąc ofiarą choroby morskiej, nie mógł mu robić konkurencji.

To poświęcanie się rodaków wyszło druhowi Jelińskiemu na dobre i oblicze jego, do niedawna wychudłe skutkiem doznanych w podróży niewygód, zaokrągliło się z zadziwiającą szybkością. W końcu wzbudziło ono zazdrość w Marokańczykach. W ich głowach zaczęły się budzić wątpliwości, czy istotnie głodzenie się zabezpiecza od złych skutków choroby morskiej. Ale było już za późno.

Druh Jeliński, poznawszy praktyczność takiej metody, zastosował ją dla dobra swojego Oranka. Piesek miał zaledwie parę tygodni i musiał żywić się mlekiem, lecz niestety tego artykułu na pokładzie statku nie było w stanie świeżym. Ku wielkiemu zmartwieniu swego pana piesek chudł w oczach i można było z góry przewidzieć, że nie przeżyje. Pewnego dnia atoli druh Jeliński ujrzał na pokładzie kotkę, która karmiła młode.

Przy pośrednictwie kucharza urządzono ciekawą próbę. Przystawiono małego Oranka do kotki. Przerazona wtargnięciem intruza uciekła na razie. Nie dano jednak za wygraną. Następnego dnia ponowiono próbę już z nieco lepszym rezultatem. Kocięta zaczęły się nawet bawić z pieskiem. Widząc to, kotka dłużej już nie odmawiała przyjęcia do grona swoich dziatka i Oranka. Był to znać fakt bardzo osobliwy, bo cała załoga „Sinsinnawy” przyglądała się temu zjawisku. Nawet sam kapitan, pykając z fajki, brał w nim udział.

Oranek, uzyskawszy niespodziewanie mamkę, poprawiał się szybko na zdrowiu, rósł, nabierał dobrego humoru i bawił się z kociętami jakby z rodzonymi braćmi. Z tego widać, że przysłowiowa nienawiść między psem a kotem jest złośliwym dziełem człowieka i nie ma nic wspólnego z naturą tych zwierząt.

Między tymi, którzy się ciekawie przyglądali Orankowi karmionemu przez kotkę, znajdował się pewien oficer, człowiek nieco starszy, z długą szpakowatą brodą. Był to inżynier mechanik „Sinsinnawy”. Obserwował on bacznie naszych skautów od pierwszego dnia, kiedy załadowano na pokład ich auto z flagą polską.

Pewnego razu zaproponował, że ich oprowadzi po okręcie. Była to interesująca wycieczka. Schodzono do oddziału maszyn, do kotłowni, na spód statku, słowem zwiedzano wszystkie zakamarki parowca, przy czym pan inżynier dawał fachowe objaśnienia. Statki amerykańskie, podobnie jak holenderskie, odznaczają się wielką czystością.

– Kiedy to nasza flota handlowa będzie w posiadaniu takich okrętów? – westchnął druh Jeliński.

– Nie prędko to nastąpi! – jęknął Smosarski.

Po tej wycieczce inżynier okrętowy zapytał, czy nasi skauci nie chcieliby odwiedzić go w kajucie razem z Orankiem, który stawał się coraz zabawniejszym. Chętnie przyjęto zaproszenie. Inżynier poczęstował naszych chłopców kawą i ku wielkiemu ich zdziwieniu zaczął rozmawiać z nimi po polsku.

Był on, jak się okazało, amerykańskim obywatelem polskiego pochodzenia, który z prostego marynarza, dzięki swoim zdolnościom, zdołał się dostać na odpowiedzialne stanowisko inżyniera okrętowego.

– Nie przyznawałem się od razu do mej narodowości – tłumaczył gościom – gdyż kilka razy pomagałem rodakom i stąd spadły na mnie różne przykrości. Widzę jednak, że jesteście dzielnymi chłopakami i na pewno nie przyniesiecie mi wstydu.

Na ścianie w jego kabinie wisiała fotografia Zamku Wawelskiego; widać więc było, że pan inżynier pamiętał o swojej ojczyźnie i w głębi duszy do niej tęsknił. Polubił on następnie bardzo druha Jelińskiego i zaofiarował się własną metodą udzielać mu lekcji angielskiego.

Lekcje te były dla naszego podróżnika bardzo przyjemnym i pożytecznym spędzeniem czasu.

Zjadanie potrójnych obiadów, śłuchanie nad angielszczyzną, opieka nad Orankiem, którego kotka zupełnie już adoptowała – wszystko to nie mogło pochłonać nadmiaru czasu wolnego w podróży. Nasi skauci zabrali się więc do czynności czysto gospodarczych. Jak każdy dobry kawalerzysta, tak i automobilista przede wszystkim powinien myśleć o swoim rumaku.

Fordzik, choć przykryty na pokładzie plandeką, pod wpływem wilgotnej atmosfery pokrywał się rdzą, trzeba więc było ustawicznie go czyścić i smarować olejem. Opieki wymagała także garderoba, która znajdowała się w rozpaczliwym stanie. Nie tylko spłowiła na słońcu afrykańskim, ale poplamiła się i podarła. Nasi skauci, wchodząc na pokład, nie przedstawiali się zbyt elegancko. Trzeba było na gwałt łątać, cerować, zaszywać, czyścić. Założono na pokładzie prawdziwy warsztat krawiecki i we dwóch pracowano po parę godzin dziennie.

Pomimo wszelkich starań, garderoba nie szczególnie się jednak prezentowała, co stanowiło niemałą troskę dla naszych podróżnych.

– Jak tu się pokazać w takich kostiumach Amerykanom, którzy mają pełne kieszenie i ubierają się starannie?

Dla zaoszczędzenia tych szacownych szczątków odłożono je do kuferków, a na pokładzie chodzono w kostiumach, które niezbyt różniły się od tego, jakiego używał w rajku nasz proajciec Adam. Można sobie było na to pozwolić, gdyż mamka Oranka była jedyną przedstawicielką płci nadobnej na „Sinsinnawie”.

Kiedy jednak nadeszła niedziela, z żalem trzeba było włożyć na siebie kostiumy skautowskie. Amerykanie nią naśladują Anglików, którzy bawią się w sobotę, a niedzielę spędzają w domu nad Biblią. Lubią oni w święto rozerwać się. Na pokładzie „Sinsinnawy” panował zwyczaj, że w niedzielę urządzano zapasy atletyczne i spotkania bokserskie. Stawali naprzeciw siebie marynarze, którzy w ciągu tygodnia pokłócili się o coś albo nawet zasłużyli

na karę. Ci mieli pierwszeństwo. Była to więc zarazem uroczystość sportowa i, obyczajem angielskim, wyrównanie nieporozumień między gentlemanami przy pomocy pięści.

Amerykanie wkładali w to widowisko cały swój temperament. Dzielono się na partie i nieraz doszłoby zapewne do ogólnej bijatyki, gdyby nie powaga biorących udział w tym wszystkim oficerów.

Przy tej okazji nasi chłopcy poznali głęboki demokratyzm amerykański. Na służbie każdy marynarz ślepo musiał słuchać swojego przełożonego, ale w niedzielę, kiedy rozpoczęły się spotkania bokserskie, oficer nie mógł odmówić wyzwania ze strony pospolitego majtka. Musiał stawać z nim na ringu i zdarzało się nieraz, że trafiwszy na silniejszego przeciwnika, zostawał dotkliwie poturbowany i wycofywał się z podbitym okiem, zwichniętą szczęką lub z innym uszkodzeniem cielesnym. Taki niepomyślny wynik spotkania oficera z majtkiem nie osłabiał atoli jego autorytetu w sprawach służbowych. Równość przede wszystkim.

Przez jakiś czas skauci przyglądali się z daleka tym zapasom. W końcu jednak druh Jeliński, nie chcąc, ażeby marynarze amerykańscy posądzili go o tchórzostwo, odważnie stanął do boju z przeciwnikiem, który nie wydawał mu się zbyt niebezpiecznym. Dostał pierwszą i wcale niezłą lekcję na terenie międzynarodowym, bo w marynarce polskiej nieraz już próbował swej zręczności w tym kierunku.

Odsłoniwszy niebacznie żołądek, otrzymał potężny cios w ten wrażliwy organ, tak iż omal nie zemdlął. Drugie spotkanie wypadło już znacznie lepiej.

Joga nie dał się atoli namówić na boks, gdyż to sprzeciwiało się jakoby zasadom filozofii indyjskiej. Wszyscy mieli wielką ochotę spotkać się na ringu z Arabami polskiego pochodzenia, ale ci w żaden sposób nie dali się namówić na założenie rękawic bokserskich.

Nareszcie jeden z nich, tęgi, barczysty chłop, zdecydował się zaryzykować spotkanie z druhem Jelińskim o głowę odeń niższym. Pierwsza runda skończyła się na niczym, bo Jeliński, dla dodania odwagi swemu przeciwnikowi, wymykał mu się ciągle. Druga jednak skończyła się fatalnie dla Araba, który odsłoniwszy się niebacznie w ataku, został rzucony na ziemię kilkoma specjalnymi ciosami w okolicę serca i pod brodę. Od tej pory stracił zupełnie animusz i nikt go już nie potrafił namówić na spotkanie.

Podróż morska odbywała się gładko. Nie doznano żadnej przygody. Pogoda stale dopisywała i po 18 dniach żeglugi „Sinsinnawa” znalazła się na wodach północnoamerykańskich. Jeszcze ląd leżał dość daleko, a już ukazały się statki strażnicze, strzegące wybrzeży od najścia szmuglerów alkoholu.

Statki, trudniące się zaopatrywaniem „Suchej Ameryki”⁶¹ w ten pożądaną napój, stały poza granicą wód terytorialnych, oczekując na ciemną noc, burzę lub mgłę. Wówczas dziesiątki szalup, naładowanych gorącymi napitkami, usiłowały dotrzeć do brzegów i oddać swój towar oczekującym współnikom. Ameryka rządowa broni się przed powodzią alkoholu, Ameryka zaś prywatna owacyjnie wita butelki szampana i whisky.

W ogóle zdaniem wytrawnych Amerykanów prohibicja nie tyle zmniejsza spożycie spirytusu, ile wpływa na obniżenie poziomu moralnego Amerykanów, którzy uczą się, jak obchodzić prawo i używają ku temu wszelkich możliwych podstępów. Dlatego też dni prohibicji są, jak się zdaje, policzone.

„Sinsinnawa” musiał poddać się rewizji. Po tym już bez przeszkody wpłynęła do olbrzymiego portu nowojorskiego, u którego straży stoi oświetlony latarniami elektrycznymi Posąg Wolności [Statua Wolności].

Pilot, prowadzący okręt, zatrzymał go u znanej wszystkim emigrantom „Wyspy Płacz”⁶². Tutaj władze lekarskie i administracyjne przeglądają paszporty przybyłych i badają stan ich zdrowia. Jest to okrutna, bezwzględnie prowadzona rewizja, od której nikt nie może się uchylić. Emigranci muszą wykazać się wizą i pewną sumą gotówki. Turyści, jadący pierwszą klasą, cieszą się pewnymi względami.

Ileż to gorzkich łez wylało się na tym fatalnym wybrzeżu. Ile matek rozłączono z dziećmi, ilu mężów z żonami, ilu starców z opiekunami..

Każdy musi stanąć przed obliczem komisji lekarskiej zupełnie rozebrany i poddać się szczegółowemu badaniu. Jeżeli ktoś cierpi na zaraźliwą chorobę albo z powodu jakiegoś kalectwa fizycznego jest niezdolny do pracy, tego natychmiast odprowadzają na stronę. Nie może on już liczyć na to, że stopa jego dotknie ziemi amerykańskiej. W parę dni potem wsadzają go na okręt i odsyłają z powrotem do miejsca, skąd przyjechał.

Tutaj druh Jeliński doznał bolesnego ciosu. Jego jedyne towarzysza podróży, jogę Smosarskiego, jednogłośnie uznano za chorego na jaglicę i stanowczo wzbroniono mu wyładowania. W dodatku chciano go odesłać do Marokka. Z bólem serca musiano się więc rozstać.

Druh Jeliński wraz z tymi, którym nie stawiano przeszkód, siadł znów na „Sinsinnawę”, która wysadziła swoich pasażerów w porcie nowojorskim, przy jednej z

⁶¹ Prohibicja, czyli zakaz produkcji i dystrybucji napojów alkoholowych, trwała w USA w latach 1920-1933.

⁶² Mowa o wyspie Ellis, mieszczącej się niedaleko wyspy Manhattan. Na wyspie działało główne centrum przyjmowania imigrantów do Stanów Zjednoczonych przybywających z Europy i Afryki. Do chwili ostatecznego zamknięcia w 1954 roku stacja przyjęła około 12 milionów imigrantów. Około 2 procent osób przechodzących przez stację nie otrzymało zgody na osiedlenie się w USA.

licznych przystani na rzece Hudson. Dziwnym zbiegiem okoliczności przystań ta znajdowała się w okolicy zamieszkałej przez Polaków.

W porcie, dzięki wysłanej zawczasu korespondencji, oczekiwał na wyprawę dookoła świata konsul polski z urzędnikami oraz kilku przedstawicieli sokolstwa polskiego i prasy.

Pan konsul Marynowski spodziewał się spotkać kilku skautów, a tymczasem ujrzał przy fordziku jednego druha Jelińskiego i jego faworyta Oranka. W dodatku druh Jeliński znajdował się w przygnębionym nastroju, gdyż miał w kieszeni zaledwie półtora dolara gotówki, a poza tym swego forda i nieco zniszczonej garderoby, no i Oranka, który na razie był dlań największym skarbem, gdyż osładzał mu samotność. Mimo to nasz skaut robił dobrą minę, kiedy reporterzy usilnie go fotografowali ze wszystkich stron.

Ku wielkiej swej radości nasz podróżnik spostrzegł w otoczeniu konsula swego dawnego znajomego, byłego komendanta chorągwi harcerskiej w Poznaniu, pana Wasilewskiego. Nabrawszy nieco otuchy wypowiedział się przed nim i konsulem ze wszystkich swych zmartwień i prosił o pomoc w wyciągnięciu druha Smosarskiego z „Wyspy Płaczu”. Konsul obiecał zrobić wszystko, co będzie leżało w jego możliwości.

Wyładowano auto i druh Jeliński postawił nogę na ziemi Waszyngtona, nie wiedząc, co mu losy tutaj zgotują.

Drugi wielki etap podróży samochodem naokoło świata rozpoczął się w porcie nowojorskim.